

DEKADA Literacka

Dwutygodnik
Kraków

Maria Kurecka: Niemcy, lato 1936 ■ Belloc w przekładach Barańczaka ■ Proza Mossakowskiego i Człczyńskiej ■ Rekomendacje: Neil Bissoondath, A Casual Brutality ■ Literacki Nobel

O sztuce zwykło się mówić, przeciwstawiając ją życiu ludzkiemu, ARS LONGA, VITA BREVIS. Temu starożytnemu aforyzmowi, którym pierwszy miał się posłużyć Hipokrates, porównując długi okres uczenia się sztuki lekarskiej z krótkim stosunkowo czasem jej wykonywania, Władysław Tatarkiewicz, nie bez intelektualnej przekory, ale i nie bez racji, przeciwstawił rozprawkę ARS BREVIS, VITA BREVIS, traktując o krótkości trwa-

życiową podlega prawom fizycznego rozwoju w kolejnych przekształceniach: z niemowlęcia staje się dzieckiem, z młodości przechodzi w wiek męski, aż jego udziałem stanie się pełnia człowieczeństwa.

Inaczej z dziełem sztuki. Dzieło sztuki bowiem, gdy w akcie twórczym artysta zdecydował się uznać je za skończone, kiedy pozostawił na nim ostatni ślad tego co francuski historyk sztuki lat międzywojennych

zbyłem się tego co dziecięce". Dzieło sztuki bowiem od samego początku jest w swoich właściwościach ostatecznie dojrzałe i skończone i dlatego nie ma się czego wyzywać.

Gdy jednak dzieło sztuki raz zaistnieje, odszedłszy od artysty, natychmiast poddane zostaje nieubłaganemu, nie znającemu wyjątków działaniu praw niszczenia materii. Nie przechodząc z dzieciństwa przez młodość w wiek męski, od samego

zostać usunięte focillonowskie „dotknięcie”, wykonane *in secco* ręką samego twórcy.

Zastanawiając się nad różnicą zachodzącą między doskonałym początkiem życia dzieła sztuki a rozwijającym się stopniowo do pełni bytu życiem ludzkim trzeba stwierdzić, że doskonałość pierwszych chwil istnienia dzieła sztuki, do której życie ludzkie dopiero stopniowo — jeśli w ogóle — dochodzi, wynika z doskonałości aktu twórczego artysty. Temu przekonaniu zaczęto dawać wyraz w okresie renesansu, kiedy zrodziło się pojęcie geniusza i kiedy Michał Anioł został uznany za artystę boskiego: *il divino Michelangelo*. Ale świadomość tego była także żywa, choć w inny sposób, już w czasach średniowiecza, gdy Boga, Wielkiego Demiurga, obrazem — przedstawiając Stwórcę świata jako architekta i słowem

VITA BREVIS ARS BREVIS

LECH KALINOWSKI

nia dzieła sztuki w świadomości ludzkiej i o wiążącym się z tym niekiedy „drugim życiem sztuki”.

Niezależnie od słuszności obu sformułowań wypada zwrócić uwagę na zawartą w nich implicite cechę wspólną dziełu sztuki i życiu ludzkiemu: i dzieło sztuki i życie ludzkie podlegają materialnie śmierci. Rzecz jednak w tym, że przebieg procesu w jakim życie ludzkie się dopełnia, a dzieło sztuki zmienia swój byt, są tak uderzająco odmienne — nie chodzi przy tym o długość trwania dzieła sztuki i życia ludzkiego — że warto rozważyć tę odmienną w dniu, w którym przychodzi mi podziękować dostojnym władzom Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie za godność honorowego profesora jaką otrzymałem na wniosek Wydziału Konserwacji Dzieł Sztuki.

Różnica między dopełnianiem się życia ludzkiego a zmianami zachodzącymi w dziele sztuki w czasie wynika z różnicy sposobu powoływania ich do bytu. Człowiek bowiem, który został stworzony jako istota doskonała „ad imaginem et similitudinem nostram” czyli na obraz i podobieństwo Boże, po wygnaniu z Raju pierwszych rodziców każdorazowo zanim osiągnie dojrzałość

Henri Focillon w *Pochwale ręki* nazywał „*touché*” — dotknięciem, od tej chwili — która jest jak przecięcie pępowiny łączącej dziecko z łonem matki — jawi się odbiorcy od razu w całym swoim blasku, w całej swojej doskonałości — (Roman Ingarden powiedziałby: w całej swojej krasie) — którą nazywamy pięknem niezależnie od zamierzeń twórcy, bo twórca mógłby mieć na myśli nie piękno a brzydotę. Najważniejsze, że po zaistnieniu dzieła sztuki nie musi do swojej doskonałości artystycznej dorastać, nie musi do niej dochodzić przez dalsze fazy fizycznego rozwoju. Innymi słowy, nie można do życia dzieła sztuki zastosować wypowiedzi św. Pawła (Kor. I, 13, 11): „*Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko, kiedy zaś stałem się mężem, wy-*

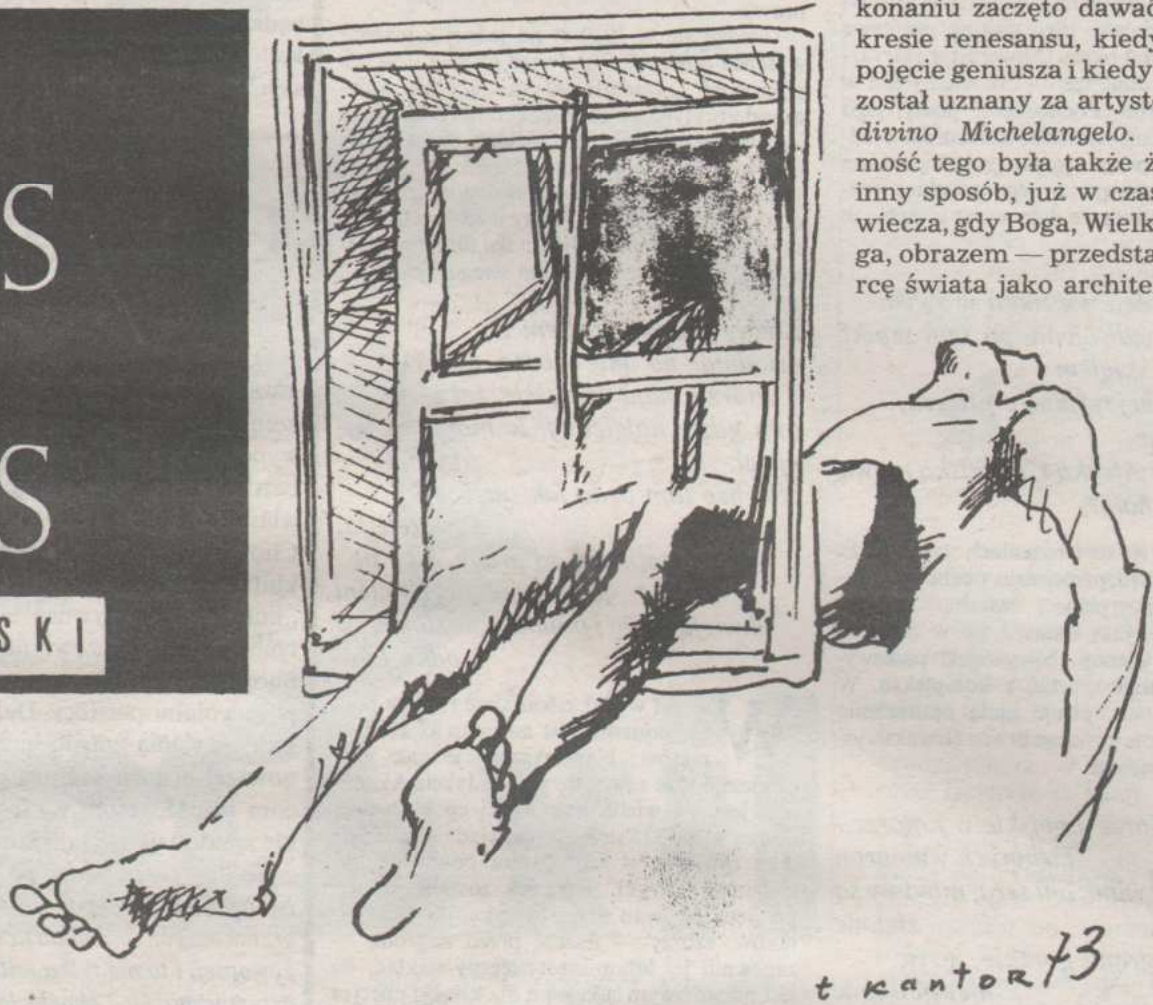
początku rozpoczyna powolną, ale trwałą utratę pierwotnej doskonałości — na drodze do śmierci.

Zarzące się barwami witraże katedry w Chartres, jeśli nie uległy całkowitej zagładzie wkrótce po powstaniu, to z biegiem lat straciły zdolność przepuszczania światła i swój wspaniały blask, tak że trzeba było i nadal trzeba je konserwować. *Ostatnia Wieczera* Leonarda da Vinci niemal na oczach artysty zaczęła porzucać ziemski byt. Freski Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej — wiemy o tym dziś lepiej niż nasi poprzednicy — poczerniały od brudu stuleci, zapalanych na ołtarzu świec, kurzu i szkodliwie działającego oddechu ludzkiego, a oczyszczanie ich budzi protesty tych wszystkich, którzy obawiają się, że w skutkach może

— nazywając go *artifex mundi* — przyrównywano do twórcy dzieła sztuki. Bo tylko Bóg i artysta dokonują aktu powołania do życia materialnej doskonałości.

Kiedy w r. 1949 MIECZYSLAW WEJMAN zwrócił się do mnie o podjęcie zajęć z historii sztuki w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, które z biegiem lat przekształciły się w wykłady w Akademii Sztuk Pięknych, po raz pierwszy mogłem zetknąć się bezpośrednio z oboma zakresami życia dzieła sztuki: z realizowaniem aktu twórczego, powołującego do życia materialną doskonałość dzieła sztuki, i ze skutkami procesu niszczenia tej doskonałości, skazanej od początku, wcześniej czy później, na częściową lub całkowitą zagładę.

(Ciąg dalszy na str. 10)



NOBEL 1992

Kiedy przed dwoma laty z okazji wydania gigantycznego poematu *Omeros*, w wywiadzie dla „Washington Post”, zapytano autora, jak zareagowałby, gdyby dostał nagrodę Nobla, DEREK WALCOTT odpowiedział:

— Nobla? To ładne pieniądze. Oczywiście chciałbym dostać Nobla. Ale jest tylu innych. Każdy Noblista po dostaniu nagrody pyta: „Dlaczego właśnie ja?”

Po przyznaniu tegorocznego literackiego Nobla temuż Derekowi Walcottowi pytanie „Dlaczego właśnie on?” padało z wielu stron. Gdy jednak nadeszły szczegółowsze wiadomości o tym mało w świecie znanym poecie karaibskim pochodzenia afrykańskiego, piszącym po angielsku, gdy w orzeczeniu Szwedzkiej Akademii Literatury znalazły się słowa, że „Zachodnioindyjska kultura odnalazła swego wielkiego poetę”, a nadto nagrodę przyznano na parę dni przed 500. rocznicą odkrycia Ameryki przez Kolumba — odpowiedź stawiała się oczywista.

Nie znaczy to, aby Walcott dostał Nobla tylko ze względów geograficzno-koniunkturalnych. Nie od dziś w opinii wielu krytyków Derek Walcott był uważany za jednego z najlepszych poetów piszących po angielsku, mimo że niełatwo go znaleźć w czasopiśmie czy antologiach amerykańskich. Fakt ten nie może zbytnio dziwić, skoro nie jest to poeta amerykański, choć mieszka w Bostonie, uczy literatury i pisarstwa na Uniwersytecie Bostonkim, a niedawno jako visiting professor zaproszony został przez Uniwersytet Harvardzki i co najistotniejsze — zakochany jest w języku angielskim. Pochodzenie poety, jego wierność swym afrykańskim korzeniom z jednej strony, umiłowanie języka, w którym pisze — z drugiej, stwarza w jego psychice rozdźwięk, któremu często daje wyraz w strofach swoich wierszy:

*Gdzie zwrócić się mam w swym
rozdwojeniu po sam szpik?*

Ja, który skłamię

Pijanego brytyjskiego oficera,

jak wybrać

*Pomiędzy Afryką i angielską mową
którą kocham?*

Nie ma w stwierdzeniach tych śladu kompleksu, przeciwnie, poeta wydobywa na pełne światło świadomości swój dylemat i stawia go w centrum problematyki wierszy. Nazywając, przezwyjętą do co mogło zostać z kompleksu. W wierszu *Gros-Ilet* opisuje małą opuszczoną wioskę na wyspie kończącej utwór charakterystycznym kontrastem.

*To nie Morze Egejskie w kolorze
ciemnych winogron*

*Nie ma tu wina, ani sera, migdały są
zielone*

*Morskie grona gorzkie, język
niewolników.*

W innych utworach trapi się tym, że poprzez umiłowanie języka angielskiego oddala się duchowo od ludzi i kraju swego dzieciństwa. Na przykład w wierszu *The Light of the World* (*Światło świata*) ukazuje przybysza-poetę w autobusie wypełnionym krajowcami:

I opuściłem ich, wiedziałem

o tym, tam,

*siedząc w autobusie, o zmiernych
cichnącego morza*

*z ludźmi schylonymi w czółnach
przy światłach pomarańczowych
od przylądka Vigie, czarne lodzie
na wodzie.*

*Ja, który nigdy nie umiałem utrwalić
swego cienia,*

aby być jednym z ich cieni,

pozostawiłem

im tę ziemię,

ich klótnie przy rumie i ich



*torby z węglem,
nienawiść ich do kaprali oraz wszelkiej
władzy.*

Podobne nostalgiczne nastroje muszą często nawiedzać poetę, skoro czas swój spędza w połowie w Bostonie oraz w domu w Trynidadzie, skąd wyrusza na częste karaibskie wyprawy.

Urodził się w 1930 r. na jednej z małych wysepki o nazwie Windward of St. Lucia, na północ od Trynidadu. Wyspa należała wówczas do brytyjskich Indii Zachodnich. Rodzice jego byli nauczycielami. Walcott zaczął pisać wcześniej. Swój pierwszy zbiorek *25 Poems* wydał w wieku osiemnastu lat za pożyczony od matki 200 dolarów. W jednym ze swych wierszy *The Midsummer* (*W środku lata*), napisanym w 1984 r. wspomina swego ojca:

*Każdy spada jak kamień
osiadając na dnie morza, lecz ci
którzy mają szczęście, leżą
tam gdzie najgłębiej, w morskiej pa-
mięci.*

*Niechże tam będą jak ojciec mój,
akwarelista,*

*gdy się zabierał do pracy, stał się
jednym ze swych cieni*

*chwiejący się i omdlały, w słońcu, w
środku lata.*

Walcott wydał kilkanaście tomów poezji, ponadto jest autorem kilku dramatów. Największym jednak jego dziełem, które zaważyło na werdykcie Akademii, jest ów wielki homerycki epos *Omeros* liczący sobie 325 stron, a opowiadający o losie dwu rybaków w ich drodze powrotnej do rodzinnej Afryki. Książka została gorąco przyjęta zarówno przez krytykę, jak i czytelników, którzy — jeszcze przed nagrodą — zapewnili jej kilkunastotysięczny nakład, co jest prawdziwym sukcesem dla książki poetyckiej. „Czarujący, pełen smutku, ale i triumfalny — pisał o tym poemacie krytyk Michael Heyward. Zaś James Arnold z uniwersytetu w Wirginii tak określa miejsce Walcotta w poezji współczesnej: „Ze wszystkich pisarzy Zachodu, on jest tym, który łączy nas razem. W *Omeros* wprowadza wszystkie tradycje amerykańskie. Od rodowitych Amerykanów, poprzez Europejczyków i potomków rodów afrykańskich; od swej małej wysepki poprzez czas i przestrzeń dociera z wielkim artystycznym, ogromnym rozmachem i głębią przeżyć — do naszych amerykańskich doświadczeń.

W języku poetyckim Walcotta dopatrują się krytycy ewolucji od dość sztucznego naśladowania poetów angielskich do dykcji giętkiej, zdolnej do dynamicznego, wzniosłego obrazowania, jak i opadania w szorstkie frazy, wyrażone slangiem, *pidgin English* czy dialektem kreolskim.

Być może sukces Dereka Walcotta oznacza coś więcej niż doroczne literackie święto. Może to wejście w dziedzinę zmęczonej kultury świata zachodniego — żywiołu świeżej inspiracji.

Leszek Elektorowicz

Nowy wydawca „Dekady Literackiej”

Od grudnia 1990 roku „Dekada Literacka” ukazywała się dzięki Wydawnictwu Gazeta Krakowska — najpierw jako dodatek do gazety, potem jako dwutygodnik. W tym czasie niektóre pisma kulturalne upadły lub się przekształcały. Pojawiało się też kilka nowych tytułów, miesięczników i kwartalników, o bardziej elitarnym niż „Dekada Literacka” charakterze. W tej coraz trudniejszej dla polskiej kultury sytuacji Stowarzyszenie Pisarzy Polskich wraz z czterema wydawnictwami prasowymi — Wydawnictwem Gazeta Krakowska, Wydawnictwem Jagiellonia, Wydawnictwem Echo Krakowa i Sportpresse — wystąpiło z inicjatywą założenia Krakowskiej Fundacji Kultury, której głównym zadaniem ma być wspieranie czasopiśmiennictwa literackiego i ambitnej działalności wydawniczej.

Z dniem 1 listopada Krakowska Fundacja Kultury stała się wydawcą „Dekady Literackiej”. Zarząd na wniosek Rady Fundacji dokonał pewnych zmian w strukturze redakcji. Wybrany został redaktor naczelny. Zreformowaniu ulegnie też system kolportażu, za który odpowiedzialny będzie prezes Zarządu. „Dekada Literacka” musi docierać do wszystkich większych ośrodków uniwersyteckich, powin-

na też być obecna w różnych częściach kraju, zarówno w dużych, jak i małych miastach. To nieprawda, że prasa kulturalna straciła czytelników! To tylko dostęp do prasy został znacznie utrudniony wskutek zarzucenia rynku czytelniczego ilustrowanymi magazynami i pismami brukowymi.

Radzie Fundacji przewodniczy **TERESA WALAS**, wiceprzewodniczącymi zostali **CZESŁAW NIEMCZYŃSKI** (redaktor naczelny „Dziennika Polskiego”) i **JERZY SADECKI** (redaktor naczelny „Gazety Krakowskiej”), funkcję sekretarza pełni **OLGA CZYŻEWSKA-TOCHOWICZ** (reprezentująca Sportpresse).

Zarządem kieruje **BOGDAN ROGATKO**, wiceprezami Zarządu są **TOMASZ DOMALEWSKI** („Dziennik Polski”) i **JERZY SASORSKI** („Echo Krakowa”).

Redaktorem naczelnym „Dekady Literackiej” została **MARTA WYKA**.

Zespół „Dekady Literackiej” pragnie gorąco podziękować dotychczasowemu wydawcy, a przede wszystkim prezesowi Wydawnictwa Gazeta Krakowska **JERZEMU SADECKIEMU** oraz naszej koleżance redakcyjnej **DOROCIE TERAKOWSKIEJ**.

Zespół

Co nowego w prasie?

ODRA (nr 9) drukuje rozmowę Mirosława Ratajczaka z Jackiem Łukasiewiczem. Jej osi są sprawy traktowane w wypowiedziach publicznych wciąż (coraz bardziej?) jako drażliwe, jak probierz właściwej postawy „ideowo-politycznej”. Chodzi mianowicie o stosunek do spadku kulturalnego po PRL, a także o ocenę „kultury alternatywnej” lat osiemdziesiątych. Łukasiewiczowi najwyraźniej jest obojętne, jak jego oceny zakwalifikują pryncypialni patrioci. Daleki jest też od kultywowania czarno-białej legendy najnowszej historii kultury polskiej. Twórcą i apologetom tej legendy zapewne nie spodoba się takie np. uwagi wybitnego krytyka: *Spadek po PRL po prostu istnieje. To jest epoka, której nie można przeskoczyć, to kilkadziesiąt lat kultury żywej, i to nie tylko jeśli idzie o kulturę artystyczną. (...) choćby lata sześćdziesiąte (...) te lata od strony instytucjonalnej były złe, natomiast od strony sztuki były znakomite! (...) PRL nie przeszkodził temu wszystkiemu powstawać, a nawet, dziś to jeszcze lepiej widać, pomagał. Mecenat państwowy miał swoje nieczne cele, chciał z tej sztuki zrobić parawan dla swoich manipulacji (...) ale można było tworzyć, publikować, żyć obok. Oczywiście to się zmieniało. Działał mechanizm cenzury zamrażającej na jakiś czas pewne zjawiska, wyłączającej z obiegu nazwiska (...) Mimo to sztuka powstawała i pozostała.*

Również niezbyt popularne dziś wydaje się to, co Łukasiewicz mówi o latach osiemdziesiątych: po stwierdzeniu, że stan wojenny przyniósł ostry podział na dobro i zło, my i władza, oraz wiarę, że to wyłącznie my jesteśmy posiadaczami wartości, przynajmniej, że było to wprawdzie

piękne i ciekawe pomiędzy grudniem 1981 a lutym 1982, ale następnie oświadcza: *Potem niestety to (...) zaczęło mieć bardzo złe konsekwencje, bo wszelkie przekonanie, że jest się wyłącznym depozytariuszem moralności, wartości, jest niedobre i demoralizujące. (...) Potem było coraz więcej sytuacji fałszywych. Ogromny rozwój drugiego obiegu dawał siłę mącą krytyczność myśli. Cala ta utopia, w którą na początku nawet mądrzy ludzie uwierzyli, że da się stworzyć całkiem alternatywną kulturę i pełną! (...) Były więc rzeczy dziwne, naiwne, fałszywe. Długo to niby trwać nie mogło, ale trwało i miałem przeświadczenie, że to najprzykrzejsze lata mojego literackiego życia. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych czułem się źle prawie wszędzie.*

W tym samym n-rze jeszcze jeden tekst idący pod prąd aktualnych mód: obszerna praca Hanny Kirchner o Zespole Literackim „Przedmieście” i losach jego założycieli, Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego. Losy te były typowe dla dużej części polskich lewicowych intelektualistów. Przed wojną opozycyjna działalność wypływająca z przekonania ideowych, bezpośrednio po wojnie nadzieje na realizację programu sprawiedliwości społecznej, akces do PKWN, krótki okres współpracy z nową władzą, potem coraz głębsze rozczarowanie, aż do przejścia na stronę opozycji w kręgu J. J. Lipskiego i „Krzywego Koła”, wreszcie w 1961 aresztowanie Kornackiego, proces i więzienie, po czym do końca życia kara literackiego niebytu. H. Kirchner uzupełnia swoją pracę fragmentami więziennych wspomnień Kornackiego, które do dziś oczekują na wydanie.

J.L.

Deutsche Männer und deutsche Frauen!
Sugestywny, mocny, u dobrych przecież aktorów wyszkolony męski głos, zwielokrotniony jeszcze rozstawionymi gęsto na rojnym od tłumów placu gigantofonami. Ale ja słucham go przez wielki aparat radiowy „Telefunken” z zielonym, połyskującym, „magicznym” oczkiem: najnowszy cud ówczesnej techniki.

Padają zdania krótkie i zwarte. Powracają — tak często wówczas już czytane i słyszane słowa-klucze: siła, wierność i jedność „narodowej wspólnoty”, pangermańska potęga, wspomaganą łaską Bożej Opatrzności („der göttlichen Vorsehung”), młodzież — nadzieją i przyszłością tego niemieckiego narodu, któremu oto brak coraz bardziej „życiowej przestrzeni” („Lebensraum”), tak niecznie

mu przez Węgłowy Targ wśród gęstej — a częściej o tej porze roku — wieczornej, jesienno-zimowej, mlecznej mgły. Wynurzyli się z niej jak widma — widoczni ledwie w zarysach i tylko do połowy. W krągłych, garnkowatych (niczym wojskowe francuskie) czapkach z prostym daszkiem i brązowych bluzach, na skos przepasanych wąskim skórzanym paskiem „koaliczyjek” — reszta ich, twardo wybijających krok postaci, ginęła w oparach mgiełnych. Ale zarysy sztabu, który nieśli, widać było także dość wyraźnie i donośnie dźwięczał ich śpiew:

„Die Fahne hoch/die Reihen dicht geschlossen
SA marschier/ mit ruhigem festem Schritt...”
Wiedziałam już wtedy, że była to „ich”

wczęta odbywały pracując najczęściej w obcych i ucząc się w praktyce prowadzenia gospodarstwa domowego) — a wróciło z nadobowiązkowym przychowkiem!

Albo — z powątpiewaniem w zalety nowego modelu popularnego już wówczas samochodu „DKW” czyli „deka-wki”:

— Właśnie: „Das Krankenhaus wartet!” (Szpital czeka!)

Ale płaskie to były żarty, powtarzane zresztą coraz rzadziej: tylko w najbardziej zaufanym gronie. Bo stale wzrastała rzesza tych, którzy w klapie ubrania — albo i przy sukience — nosili z coraz widoczniejszą dumą swastykową odznakę, ów „Parteigroschen”, zwany tak z racji swej wielkości, równej monecie 10-fenigowej, potocznie zwanej „ein Gro-

— Heil Hitler!
Pojemne „heil” mieści w sobie wiele różnorodnych znaczeń: „Der Heiland” to Zbawiciel czyli Chrystus, a „Seelenheil” to „zbawienie duszy”, czasownik „heilen” z kolei — znaczy zarówno „leczyć” jak i „goić się”, np. „Heilanstalt” — zakład leczniczy, lecz jeśli dodać do niego jeszcze uprzednio „Nerven” — zamienia się niepostrzeżenie w bardzo już wówczas niebezpieczny „zakład dla nerwowo chorych” czyli dom wariatów, których niewiele już lat później — zamiast leczyć — po prostu „likwidowano”, czyli mordowano. „Eine geheilte Wunde” to zagojona rana, „ein Geheiler” — człowiek wyleczony, ozdrowieniec przywrócony zdrowiu. Wrzaskliwe „heil” umieszczone tuż przed Hitlerem nie oznaczało jednak życzeń zbawienia czy — ozdrowienia — dla wodza narodu, było tylko

Niemcy, lato 1936

Maria Kurecka

zdradzonemu po ostatniej wielkiej wojnie, któremu haniebny traktat wersalski zadał zdradziecki cios nożem w plecy. Wszystkich sił (znowu: sił) dolożyć trzeba, by ów stan rzeczy odmienić, by Niemcy jak najszybciej odzyskały dawną świetność i należne im poczesne miejsce pośród narodów świata...

„Sieg Heil!” — wyje rozgorączkowany tłum. I potem — już nieledwie skandując — ogromniejąca fala wrzasku powraca rytmicznie:

„Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg — Heeee-ill!”

Mówi Hitler. Nie pamiętam już, czy na którymś z licznych „Parteitagów” w Norymberdze, czy z okazji imponujących — jak na ówczesne czasy — z niebywałym rozmachem urządzonych Igrzysk Olimpijskich w Berlinie — latem 1936 roku.

Domownicy z politowaniem kiwają głowami:

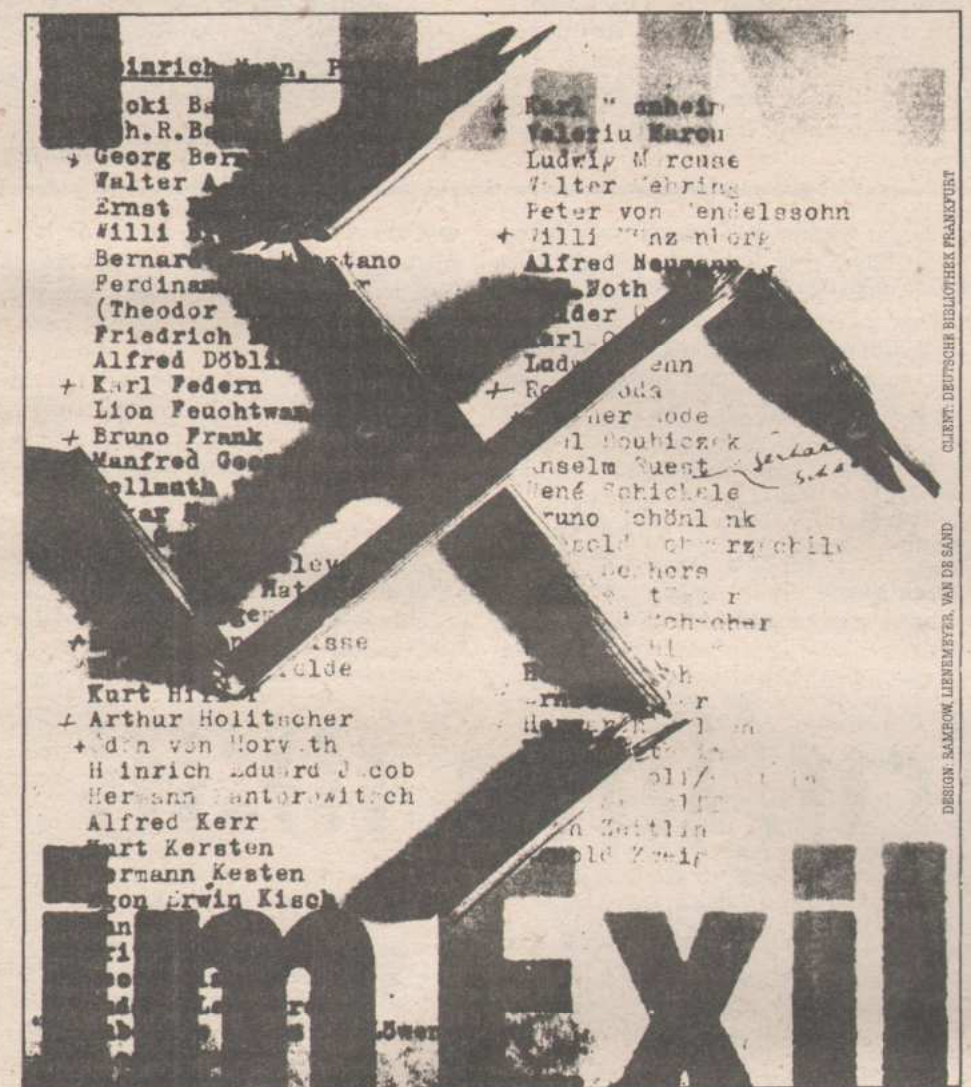
— Nie szkoda ci to czasu? Przecież on zawsze tylko i w kółko o jednym: „Wielka Rzesza Niemiecka” (która już wkrótce przechrzczona miała zostać na „Tysiącletnią” — „das Tausendjährige Reich”).

Nie. Nie szkoda. Uparcie i ze wszystkich sił próbuję dociec, co to się stało, co się dzieje z oszalałym nagle światem, z Niemcami — otaczającymi nas tu ze wszystkich stron i z samym Miastem.

Doskakuję tu przecież tylko: krótko, wyrwykowo. Na dwie małe przerwy ferii świątecznych — no i co prawda na coroczne, dwumiesięczne „wielkie wakacje letnie”, ale lwią ich część też zawsze spędzamy z dala od Miasta. Resztę czasu nie tu jestem, przez pozostałe miesiące zamieniam się w mola książkowego, ryję nosem w podręcznikach astronomii czy trygonometrii, wertuję tablice logarytmiczne, szlifuję jakieś zawsze jeszcze niepepne, dwa albo cztery takty „mego” kolejnego Czernego, Bacha czy Mozarta, gardluję na zebraniach szkolnego samorządu.

Miasto tymczasem z roku na rok gęściej pokrywa ohydna wysypka czerwonych placht, pośrodku ozdobionych białym kołem i czarnymi łamańcami swastyk. Czarno-biało-czerwone „zwykłe” flagi niemieckie też nieraz wśród nich trzepocą, ale z każdym rokiem ich mniej. Ulicami coraz częściej — przy dziarskim warkocie werbli — maszeruje HJ („Hitler Jugend” czyli zorganizowana młodzież męska), BDM („Bund Deutscher Mädchen”, także, tylko żeńska), albo i rozradowane, najmłodsze, krótkospodenkowe jeszcze „Pimpfy”.

Po raz pierwszy objawili mi się — jak duchy — na kilka tygodni przed oficjalnym — w 1933 roku — objęciem władzy przez Hitlera. Wracalam do do-



szczególnie ulubiona „Horst-Wessel-Lied” (że główny jej bohater, Horst Wessel właśnie, był sutenerem i zginął w jakiejś burdzie ulicznej — a nie w walce o moc i potęgę Tysiącletniej Rzeszy, dowiedziałam się znacznie później), awansowana niebawem do rangi drugiego, acz nieoficjalnego hymnu państwowego. Najdosłowniej szcękając zębami z przerażenia z trudem dowlokłam się do domu.

A co w tym wszystkim było tak przerażającego? Dziś, po upływie tylu i tak wiele wyjaśniających dziesiątków lat, przytrudno o jasną odpowiedź. Najpewniej było w tym sporo niejasnych przeczuć naddającego niebezpieczeństwa, jakie miewają niektóre zwierzęta. Domownicy zbagatelizowali zresztą i złagodlili mój ówczesny szok.

Pokpiwano też i później jeszcze w Mieście:

— Aha — BDM czyli Bubi drück mich! (Przytul mnie, chłopysiu!)

— Pojechało dziewczę na „Pflichtjahr” (dosłownie „rok obowiązku”, który po ukończeniu szkoły dorastające dzie-

schen”. I — zwłaszcza w co większych kamienicach lub nowych blokach — pojawiali się nowi dozorczy, o bystro myszkujących oczach i czujnych uszach. I coraz częściej słyszało się o donosach, po których tego czy owego po prostu „zabrano”, choć niezbyt było jeszcze wiadomo, dokąd i na jak długo:

— Czyżby na „Schiestange”? (miejskie więzienie).

— Czyżby za § 175 (Sławetny ten paragraf, czego też, oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałam, groził więzieniem — później już i obozem koncentracyjnym — homoseksualistom).

Policja z reguły w wypadkach takich nagłych zniknięć nic nie wiedziała, bo i wiedzieć nie mogła — wszystko to odbywało się całkowicie poza jej strefą działań. Ale plotki i pogłoski robiły swoje: zastraszeni ludzie woleli milczeć, a z czasem — choćby i dla świętego spokoju — zamiast normalnych słów powitania, pożegnania czy wyrazów szacunku w zakończeniu listu powtarzały sakramentalne:

aktem strzelistym, oddającym mu cześć — bo i takie znaczenie słówko to mieć może. A wywodziło się zapewne z na wskroś niewinnej, pod koniec różnych „Schützenfestów” czyli konkursów lokalnych „bractw kūrkowych” śpiewanej pieśni „Heil dir im Siegeskranz”, gdy najlepszy strzelec, nagrodzony sutym wieńcem z bobkowych liści, promieniał z racji odniesionego zwycięstwa.

Ale odzywały się też entuzjastyczne głosy. I z biegiem lat — nawet ich przybywało.

— Ten mój chłopak trzy lata był bezrobotny — wywodził w kuchni stoczniowy cieśla Sielaf, który dla drobnych napraw niekiedy do nas zaglądał — a teraz ma wreszcie całkiem porządną pracę. Przy budowie dróg — aleć zawsze!

Brzydka i niemłoda już panna Truda, ekspedientka w jednym z dwóch naszych sporych domów towarowych — nie wiem już, Freifelda czy Sternmanna, promieniała:

— Z naszej drużyny („Gefolgschaft”: neohitlerowski dziwoląg na oznaczenie „załogi” lub grona pracowników) tylko ja z koleżanką zostałyśmy wybrane na rejs statkiem, organizowany przez „Siłę przez Radość” („Kraft durch Freude” — takimi właśnie akcjami zajmujące się hitlerowskie stowarzyszenie) po Morzu Śródziemnym — aż mi się wierzyć nie chce! Czym to ja kiedy marzyć mogła o tym?!

Kościasta i tykowata Greta natomiast, która się „wysferzyła” (takich określeń, choć już coraz rzadziej, używano podówczas jeszcze), bo z porządnej, urzędniczej rodziny za mąż poszła za nicponia i pijusa, który żadnej pracy imać się nie chciał, co dzień natomiast po powrocie z knajpy regularnie bijął ją i trzech swoich synków — Greta, która przychodziła do nas, by się wyzalić i zabrać jakieś sztuki pościeli czy bielizny, wymagające reperacji (tym dorabiała), z wypiekami na policzkach relacjonowała:

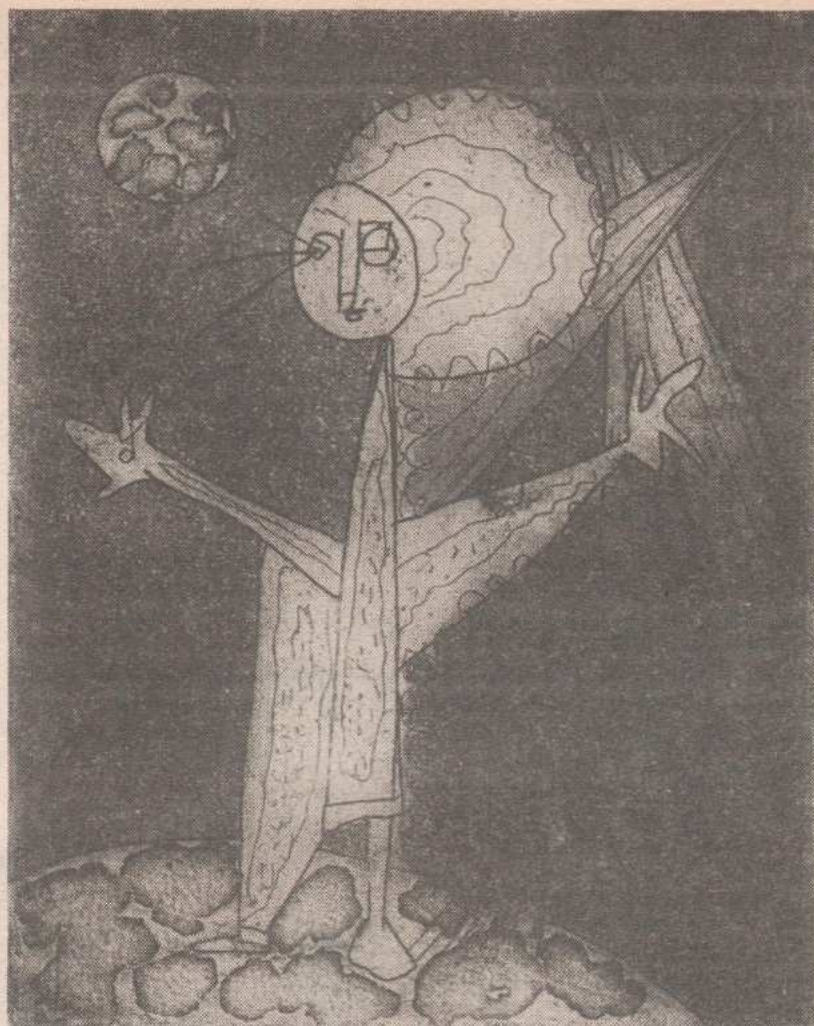
— Pewno, że się zapisałam do tego „Frauenschaftu”! (hitlerowskiej organizacji kobiet). Zapomogę zaraz mi dali i dzieci obiecali na całe wakacje na kolonie wysłać. Tam nie mędrkują tyle, co w „Wohlfahrte” (towarzystwo dobroczynności), tylko naprawdę pomagają — i to szybko!

Niech tam tysiące i setki zapisanych stron, uczonych rozpraw i dogłębnych analiz dowodzi, że gdyby nie ówczesna sytuacja w Republice Weimarskiej, gdyby nie senilność bardzo już starego Hindenburga, gdyby nie poparcie przez wielki przemysł, Hitler nie doszedłby do władzy — a przynajmniej nie zdobył jej tak wszechstronnie i tak szybko.

(Dokończenie na str. 4)

O, słuchaj bracie z planety Ziemia
— jak śpiewają gwiazdy
dla nas wszystkich tę samą pieśń nucą
i tym samym światłem darzą mnie i ciebie,
posłuchaj jak temat kosmicznej fugi
draży i przenika wszystkie galaktyki,
jak wspina się i wędruje w głosach tych,
którzy przeistoczeni w pył lub w nirwanę
nie błądzą, gdyż odnaleźli się poza ziemią i ciałem.
Zobacz jak w głębi światła musuje wieczne istnienie
i jak tętniący kosmos przelewa się w twoje żyły...
Oto twoja pieśń prawdziwa, bez dysonansów i bez sztormów,
nad planetą rozkołysaną i rozpiętą
na niewidzialnych niciach pajęczyny,
jaką jest ten zaułek Wszechświata,
ukochany i opuszczony przez Stwórcę,
lecz wyróżniony w Jego testamencie
na wypadek gdyby On sam nie odnalazł drogi
do nas (Szatan wytrącił Mu busołą przed wiekami
i spada dryfując wśród gwiazd i planet
jak złota harfa o pękniętych strunach),
posłuchaj więc bracie jak śpiewają gwiazdy
dla nas wszystkich tę samą pieśń nucą
tu, gdzie trwamy pojmani
niczym w sieciach Wielkiego Rybaka,
łudzeni obietnicą ostatniego sądu,
która mądrze syci niespełnione pragnienia.

MAREK BATEROWICZ (ur.1944) jest autorem sześciu zbiorów wierszy, wydanych w kraju i za granicą, dwu tomów opowiadań oraz kilku antologii poezji krajów romańskich i latynoamerykańskich. W 1985 r. wyemigrował z kraju. Jego książka *Rękopis z Amalfi*, w przekładzie na angielski, ukazała się w Australii w 1991 r.



JANINA KRAUPE. Człowiek i Wszechświat, akwatinta, 1948.

(Dokończenie ze str. 3)

Ale: „audiatur et altera pars”. A ta „inna część” to nie-przeliczone tłumy pospolitych „szarych” ludzi, które przede wszystkim — i to ze wzrastającym entuzjazmem — za nim poszły. A wśród tych tłumów miliony, setki i tysiące bab, kobiet i dziewcząt. Eskalacja uwielbienia dla umiłowanego wodza z biegiem lat graniczyła wręcz z szaleństwem. Jak większość przywódców — zwłaszcza politycznych — samą swoją osobowością „pro-

nie taki właśnie stan rzeczy potwierdza. „Chleb” przy tym niekoniecznie musi być chlebem — chodzi tylko o zapewnienie jako tako wystarczającej, choćby i tylko do połowy pełnej michy. A że trzeba się ograniczać? Podczas długich lat bezrobocia o ileż gorzej było!

A „igrzyska”? Też ich nie brakuje. Młodzież jak nigdy dotąd może — a nawet musi — szaleć we wszystkich dziedzinach sportu. Są też wspomniane już taniutki rejsy i podróże dla ludzi pracy. Dla kobiet — zamiast pustego plotkowa-

szybsze posuwanie się wwyż po drabinie hierarchii partyjnej. Nawet po wsiach częściej już widuje się żółto-brązowe mundury („sraczkowate” — szydzą jeszcze poniekąd, choć oficjalnie określa się ten kolor jako „musztardowy”) i karnie maszerujące oddziały, które śpiewają coraz butniej:

„Die Straße frei den braunen Bataillonen
Die Straße frei dem

Sturmabteilungsmann”.

Złowrogie czarne i — przewidująco! — trupimi czaszkami na czapkach przyozdobione mundury SS nieczęsto jeszcze widywało się wtedy na ulicach.

mańskiej zdrowej jałowicy czy krowy — nadużywaniu kosmetyków i pachnidel.

W zaufanym — ale już tylko naprawdę zaufanym! — gronie chętnie powtarzano historyjkę o wielce zaangażowanej w nowym „ruchu” („Bewegung”) rodzinie: najpierw wraca z pracy do domu ojciec, ale niebawem wychodzi, zostawiając na drzwiach kartkę z informacją:

— Idę na zebranie partyjne, pod tym dopisuje zaaferowana matka: „A ja do NS-Frauenschaft”, po niej kolejno syn: „A ja do Hitlerjugend”, a w końcu córka: „A ja na wieczornicę BDM”.

Złodzieje też przyszli, informacje przeczytali, mieszkanie obrobili do czysta i także złożyli na owej kartce swój autograf:

— „Wir danken unserem Führer!” („Dziękujemy naszemu Wodzowi!”).

Coraz mniej jednak tych przepinek i dowcipów. Coraz bardziej milkliwi i bojaźliwi stają się ludzie. Lęk i nieu-

fność dawno już przekroczyły progi ludzkich mieszkań, bo kto tam wie, co taki naiwny dzieciak gotów z domowych pogwarek powtórzyć nie tylko w szkole, ale przede wszystkim w swojej „zaufanej” szkoleniowej grupie najmłodszych chłopców czyli „Pimpfów” albo dziewczynek „Jungmädel” i jak katastrofalne skutki mogą z tego wynikać.

Na horyzoncie tymczasem zarysowują się coraz wyraźniej absolutnie niezbędne w tej walce (bo słownictwo paramilitarne czy wręcz już otwarcie wojskowe zaczyna w życiu codziennym przeważać) postaci WROGA. W skali szerszej — i ideologicznej (choć nie tylko) i — na razie — raczej techniczno-szkoleniowej — wrogiem tym jest komunizm. W skali bliższej, dla każdego zrozumiałej, gdyż natrętnie, coraz ostrzej i brutalniej wbijanej do wszystkich głów — największy wróg całej postępowej ludzkości, a zwłaszcza już wspaniałej i szczególnym, dziejowym posłannictwem obdarzonej rasy germańskiej: Żyd.

Maria Kurecka

Z rękopisu do druku przygotowała Ewa Czerwiakowska

Niemcy, lato 1936

mieniował” na tłumy, magnetyzował je i doprowadzał do historycznej ekstazy. Choć ani przystojny — ani postawny. No cóż — od Nerona choćby licząc (a dła czegożby nie?) fanatyczni wodzowie rzesz przeważnie byli „nikczemnej postury”. A czy zachwycony tłum ryczał na ich widok „Salve” czy „Ave”, czy „Evviva” (jak dla hiszpańskiego Caudilla lub włoskiego Duce), czy „heil”, czy też skandował w upojeniu tylko imię wielkiego Ojca Narodów — to już znaczenia nie miało. Znaczenie miały — tylko i jedynie — stwarzane podczas tych masówek sytuacje i nastroje. No i — w późniejszym już terminie — ich zawsze poniewczasie i zawsze bardzo gorzko oplakiwane — skutki.

Nie. Historia na pewno nie jest, nie była i nigdy nie będzie „magistra vitae”. Nie uczy ludzi niczego i nigdy nie nauczy. Inne zawołanie skutkuje tu nieodmienne: „Panem et circenses”. Rzymski ubogi plebs zatybrzański domagał się „chleba i igrzysk” i nie inaczej pragnęli i myśleli prostaczekowie w tych czy innych miejscach na ziemi, w tych czy innych stuleciach. I nie sądźcie, że to gruba symplifikacja: życiowa praktyka nieodmien-

nia — organizuje się „kolorowe wieczory” („Bunte Abende”): trochę folkloru, parę bardzo już „ogranych” dowcipów, trochę wspólnego śpiewania — niewymyślna rozrywka — aleć zawsze. I każdy „szary” człowiek musi zostać wciągnięty do „wielkiej narodowej wspólnoty” („die große Volksgemeinschaft”). Kobiety — oczywiście — także. Już pojawiają się — dla królic najbardziej płodnych (trzeba nam przecież dzieci i pięknej, zdrowej młodzieży) „krzyże macierzyństwa” — „Mutterkreuze” — brązowe, srebrne i złote, wręczane nader uroczysto.

Mężczyźni też czują się teraz w pełni dowartościowani. Nikt im przecież nie każe rezygnować z ulubionych rozrywek — bilardu albo skata, którego w dobranym gronie i pociągając piwo z kufla rozgrywa się przy specjalnie zarezerwowanym stole („Stammtisch”) w zadymionej, narożnej knajpce. Ale każdy z nich — gdy stał się już — a tak — PG — czyli „Parteigenosse” czyli „towarzyszem partyjnym”, dowodnie doświadcza korzyści takiego stanu rzeczy: tu podwyżka, tam awans, długoterminowa pożyczka, coraz

Działa skutecznie także pomoc zimowa („Winterhilfe”) przeznaczona dla najuboższych. Przyjęła ją za sąsied-

kim przykładem także i Polska, opatrując całą tę akcję sentymentalnym sloganem „Gorące serca zwalczą mróz”; choć raczej ślamazarnie toczyła się owa walka. W Mieście natomiast już od wczesniej jesieni na każdym rogu ulicy natrętnie potrząsały metalowymi puszkami kwestarki — rzadziej kwestarze — powtarzając monotennie:

„Für die Winterhilfe — Winterhilfe...”

I leciały do tych puszek groszaki, w zamian za które przypinano składkom com barwne, malutkie i wielce idylliczne znaczki: jednego roku kwiatki, następnego ptaszki, potem motylki.

Krążyły jeszcze anegdotki, próbowano — jeszcze! — wykpiwać lansowane slogany i hasła, jak choćby:

„Die deutsche Frau riecht nach sich selbst!” („Niemiecka kobieta pachnie tylko samą sobą!”) mające skutecznie przeciwdziałać nieprzystojnemu — dla ger-

Jestem tu, w Londynie, zaprzyjaźniona z Nigeryjką, Mary, od lat osiadła w Anglii, ale utrzymując bliski kontakt z krajem ojczystym i interesującą się wydarzeniami światowymi. Nie tak dawno przy kawie snuła Mary takie rozważania: „Myśmy przegrali pierwsze rundy naszej wolności, bośmy byli naiwnym i prymitywnym społeczeństwem, które padło ofiarą amerykańskiej płyty. Daliśmy się nabrać na blachostki i świecidełka, na plastikowe cacka i nędzny blichtr. Te sztucznie zmyślane potrzeby i wyniki z nich równie sztucznie ambicje odwróciły naszą uwagę i pochłonęły energię twórczą. Ale teraz, kiedy wolność wyboru uzyskały zniewolone dotychczas narody europejskie o bez porównania wyższej kulturze, silniejszej tradycji i dużo większym wyrobieniu, niż biedni Murzyni z buszu — teraz one odślonią całą nicość tamtego świata, ubóstwo tamtej cywilizacji, mialkość skali wartości. To jest wielka szansa dla całego świata”.

ły w Kanadzie, w powieści pt. *A Casual Brutality (Mimowolna brutalność)*, wkłada taką wypowiedź w usta jednego ze swych protagonistów, Grapplera: „Dziecko nie dostrzega, że dorasta. Nie widzi, jak z wolna rosną jego siły i wiedza, nie zdaje sobie sprawy, że bierze na siebie różne drobne obowiązki, że powoli przejmując własne życie w swoje ręce. I nagle, pewnego dnia staje się to faktem: jest dorosłym człowiekiem, sam podejmuje decyzje o sobie. I jeżeli miał szczęście, że został do tego odpowiednio przygotowany, w tym momencie, gdy sobie to uświadamia, nie stoją przed nim żadne trudności...”.

Bissoondath jest Hindusem i tak się jakoś składa, że ze wszystkich ludów postkolonialnych Hindusi wykazują największą przenikliwość w określaniu i analizowaniu sytuacji emocjonalnych, etycznych, materialnych, w jakich mogą znaleźć się świeżo wyzwolone narody.

Głównym imperatywem, podstawową koniecznością dla psychiki Raya jest możliwość wyboru. A jednak jego życie tak się układa, że w najbardziej węzłowych momentach wypadki pozbawiają go tej możliwości, że skazany zostaje na ślepy przypadek. Pierwszym z nich okazało się małżeństwo.

W Toronto świadomie prowadzi zupełnie samotniczy tryb życia. Jedyną formą jego odpoczynku jest spędzenie kilku godzin nad piwem w lokalu z półpornograficznymi występami, z „ginekologicznymi”, jak je nazywa, tańcami. (Istnieje bardzo zabawny, zupełnie kliniczny opis podobnego występu). I właśnie tam znajduje sobie żonę. Poznaje bowiem kelnerkę i odkrywa ze zdumieniem, że Janet jest panną po studiach, z przyzwoitej mieszczańskiej rodziny. Kiedy przychodzi do niej na party, zadymska zatrzymuje go na noc i w trakcie tej nocy zostaje właściwie przez Janet przymuszony do miłości. Wkrótce okazuje się, że Janet jest w ciąży i Ray się z nią żeni.

nicy mają zapewnić bezpieczeństwo coraz bardziej topniejącej grupie posiadających przed rosnącą desperacją wydziedziczonych.

Tu dochodzimy do głównej różnicy między Kołakowskim a Bissoondathem. Kołakowski jest uwięziony w pewnej określonej tradycji europejskiej, głęboko uwarunkowany przez czas i pozycję, jaką zajmuje w świecie. Łączy go też solidarność z określoną grupą społeczną. Bissoondath świadomie odrzucił wszystkie ofiarowane mu wzorce i ukształtował sam siebie. Nie przyznaje się do solidarności z nikim, jest okiem, uchem, kamerą: jest artystą. Kołakowski — solidaryzując się ze swoją grupą — broni intelektualistów i zarazem z góry ich rozgrzesza, minimalizując ich znaczenie, Bissoondath ich właśnie, ustami Grapplera, obciąża odpowiedzialnością za „chaos wolności” w jego ojczyźnie. Grappler, rozwijając metaforę dzieciństwa dowodzi Rayowi: „Przypomina to, dorastanie. Nawet jeżeli

Kiedy nadzieja staje się złudzeniem

Maria Niemojowska

NEIL BISSOONDATH: *A Casual Brutality*, Bloomsbury, Londyn 1988.

Poruszyłam z powątpiewaniem głową, bo nagle stanął mi przed oczami oglądany przed kilku laty dworzec wiedeński z wielkim, bezładnym koczowiskiem robotników węgierskich siedzących wśród bambetli i kup śmieci, lżonych przez policjantów i obsługę dworca; przypomniało mi się kilka scenek rodzajowych z Polski, anegdota z urlopów w Rumunii: „Nie stawiałabym na to — powiedziałam. — Człowiek jest wszędzie taki sam. Każdy ma jakiś busz. Odmienne są jedynie formy wyrazu, ale podstawowe potrzeby, aspiracje są podobne. Dlatego tak łatwo człowiekiem manipulować. Dlatego tak łatwo nabrać go na byle świecidełko”.

„Człowiek jest wszędzie taki sam” — powtórzyłam w jakiś czas potem, ale zupełnie innym tonem — czytając w 33 numerze „Dekady” fragmenty wywiadu Leszka Kołakowskiego: „Dzieci chciałyby być dorosłymi, bo wyobrażają sobie, że dorosli są wolni i nikt im niczego nie każe. Dorosli raczej woleliby być dziećmi, ponieważ sądzą, że dzieci mają zapewnione bezpieczeństwo...”. Satisfakcję tę wywołała nie tyle trafność porównania profesora, ile przyjemność, jakiej doznajemy, gdy życie nieoczekiwanie potwierdzi jakąś naszą teorię, szczególnie jeśli jej nikt nie chce traktować poważnie i gdy my sami ani nie umiemy jej sformułować z dostateczną precyzją, ani bronić dość przekonująco. W tym wypadku chodzi mi o moją nieporadnie skoloną tezę, że — tak jak w naukach ścisłych — pewne odkrycia i wynalazki pojawiają się równocześnie w różnych miejscach świata, bo właśnie dojrzała do nich wiedza, tak pewne nowe zjawiska, wydarzenia, doświadczenia społeczne, przy próbach ich określenia, ich nazwania wywołują w świecie myśli i sztuki podobne obrazy, metafory, porównania, niezależnie od miejsca, sytuacji kulturowej i materialnej, ponieważ emocjonalna struktura człowieka jest uniwersalna i niezmienna.

I oto to „dziecinne” porównanie, do którego uciekł się prof. Kołakowski próbując określić trudności towarzyszące naglemu przejściu w wolność, przypomniało mi natychmiast pisarza innego pokolenia, zupełnie innej formacji kulturowej, innej rasy i innego kontynentu, który — niezależnie od tych wszystkich różnic — używa podobnego porównania, usiłując wyjaśnić pułapki czyhające na świeżo wyzwolone społeczeństwo.

NEIL BISSOONDATH, pisarz hinduski, pochodzący z Indii Zachodnich, osiad-

książka napisana jest w pierwszej osobie. Jej narrator dr Ray Ramsingh, obywatel Kanady, w momencie rozpoczęcia powieści opuszcza po raz drugi i ostateczny rodzinną wyspę Casaquemada. Casaquemada jest małą karaibską wyspą, która początkowo była kolonią hiszpańską, następnie przeszła pod panowanie Anglików i przed dwudziestu paru laty stała się niepodległym państwem. W czasie tej powrotnej podróży do Kanady dr Ramsingh opowiada dzieje swego życia, mieszając wspomnienia z dzieciństwa i ostatniego pobytu na Casaquemada ze wspomnieniami z Kanady, tak że kolejne rozdziały powieści toczą się w różnych czasach i miejscach.

Dr Ramsingh pochodzi z zamożnej hinduskiej rodziny, zamożność jej jednak jest zupełnie świeża. Jeszcze jego dziadek — syn niepiśmiennych rodziców — rozpoczął życie jako ubogi wyrobnik rolny. Przeniósł się potem do miasteczka noszącego zdumiewającą nazwę Salmonelli (dr Ramsingh twierdzi, że dopiero po przyjeździe do Kanady dowiedział się, co znaczy to słowo) i po pewnym czasie otworzył tam sklepik, będący we wspomnieniach Raya po prostu „wąską dziurą w ścianie”. Ta „wąska dziura w ścianie” staje się początkiem dobrobytu jego rodziny, ale zarazem jej końcem, wyzwała bowiem jego potomstwo z „podwójnej niewoli gleby i klimatu”. Synowie, wykształceni na europejskich uniwersytetach, mieszkają w dalekich krajach, zamężne córki w innych miejscowościach. Mały Ray znalazł się pod opieką dziadków tylko przez nieszczęśliwy przypadek: jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Już w okresie dzieciństwa Raya wielki rodzinny dom jest opustoszały.

Ray kocha i szanuje roztropnego dziadka, ale nie ufa babce, kobiecie — jak to określa — „zasklepionej we własnej głupocie i rządzonej przez zmyślane niebezpieczeństwa”.

Jedynym człowiekiem, z którym łączy go powinowactwo intelektualne i którego obdarza pełnym zaufaniem, jest mąż jednej z jego ciotek, Grappler. Czołowy bojownik o wyzwolenie Casaquemady, mąż stanu, wieloletni doradca rządzącego od początku prezydenta, jest Grappler człowiekiem o wielkiej i chłodnej inteligencji i niezachwianej uczciwości. Jego opanowanie, powściągliwość i rozum stanowią jedyną rzeczywistą ostoję osamotnionego Raya. Grappler obdarza go ojcowską opieką i umożliwia mu wyjazd na studia. Ray bowiem buntuje się przeciw swemu przeznaczeniu; nie chce zostać spadkobiercą dziadka, nie chce objąć po nim sklepu — chce być lekarzem. Wyjeżdża na studia medyczne do Kanady.

W żadnym z wątków nie występuje tak jasno takt i elegancja pisarska autora, jak w wątku z Janet. Narratorem jest dr Ramsingh i wyraźnie widać, że nie tylko żony nigdy nie kochał, ale nawet nie zdołał się nią w pełni zainteresować. A jednak Janet od pierwszego momentu jest samoistną postacią pełną godności i człowieczeństwa. Są zupełnie niepodobni do siebie i stanowią niedobrane małżeństwo. A przecież autor nigdy jej nie poniża, nie umniejsza, nie ośmiesza. Pierwsza ciąża Janet kończy się poronieniem. Jednak to przypadkowo zawarte małżeństwo ostaje się, Ray kończy studia, osiada w Toronto, gdzie otwiera praktykę; nieco później rodzi się im syn.

Tę półsenną egzystencję (bo tym jest ich życie, nie tyle wspólne, co biegnące równoległe) przerywa pierwsza świadoma decyzja, jaką podejmują oboje: powrót na Casaquemada. Każde z nich powodowane jest zupełnie innymi względami. Dla Janet, śmiertelnie znudzonej małżeństwem, jest to zapowiedź interesującej przygody. Motywy Raya są bardziej złożone. Po części powoduje nim chęć włączenia syna w tradycyjną, plemienną rodzinę, częściowo kieruje nim ciekawość i niejasna potrzeba dołożenia się do budowy „nowego świata”, a po części — pół uświadomiona chęć uszczknięcia czegoś z nowego bogactwa, jakie nieoczekiwanie spadło na wyspę: odkryto tam ropę naftową. I aczkolwiek w momencie, kiedy podejmują tę decyzję, okres największej zamożności już minął, zasoby się kurczą, cena ropy spada — to jednak utwierdzają ich w niej namowy rodziny i przechwałki przyjaciół.

Zasadniczy trzon *Mimowolnej brutalności* stanowi opowieść o dziejach pobytu dr Ramsingha z rodziną w Salmonelli, chociaż książka jest tak starannie skomponowana, że każdy kolejny jej etap kształtuje dojrzewanie osobowości bohatera. Ray szybko odkrywa, że nie do końca się dzieje na wyspie. „Boom” naftowy dobiegł końca. Znikają ze sklepów „włoskie kryształki, brazylijskie wyroby skórzone, jedwab chiński, indyjskie brzozy, zabawki amerykańskie i szwajcarskie zegarki”. Wkrótce zaczynają znikać i same sklepy: jeden po drugim padają ofiarą podpalenia. Tam gdzie niedawno pyszniły się luksusy, zieją zgliszcza. Ofiarą pada również „wąska dziura w ścianie”, dziadek Raya traci dorobek życia. Razem z podpalaczami mnożą się inne przestępstwa, zamachy, rabunki, morderstwa. Prowincjonalny, szorstki, ale otwarty i przyjazny styl życia Salmonelli przekształca się w bytowanie w obłożonej twierdzy. Łańcuchy, zawory, płoty, wartow-

miałe najgorszych możliwie rodziców; nawet jeżeli cię zaniebdywali, maltretowali, wyzykiwali, kiedy wreszcie dorosłeś i wyzwoliłeś się spod ich władzy — chociażbyś nadal cierpiał na rozmaite psychiczne bolączki, przychodzi taki czas, kiedy musisz przyjrzeć się sobie i, niezależnie od przeszłości, zdecydować dokąd zamierzasz podążyć i jak chcesz tam dotrzeć. Musisz sobie uświadomić, że największym twym wrogiem jesteś ty sam — i od tego punktu rozpocząć rzeczywistą pracę. I w tym miejscu właśnie zawiedli nas nasi intelektualiści. Tak byli zajęci patrzeniem wstecz, że zaabsorbowani wykrzykiwaniem naiwnej polityki oskarżeń, tak pochłonięci rzucając obelgi na Anglików, Amerykanów, na pierwszy świat, drugi świat i na każdy, jaki się nawinął, że zapomnieli pomóc nam, gdy pojawiła się nasza szansa. I tak, kiedy się pojawiła — roztrwoniliśmy ją. Rozkradliśmy ją, rozdali w łapówkach, zmarnowali na absurdalne i beużyteczne projekty i importując wszystko darowaliśmy ją innym. Nawet przy niezmiernej fachowej pomocy, jaką mieliśmy tu i jaką nam ofiarowała zagranica — zachowywaliśmy się jak społeczeństwo dorobkiewiczów. Nasi przywódcy nauczyli nas, jak obwiniać innych, a nie jak radzić sobie samemu. Obdarzyli nas psychologią ofiar.

Kiedy więc pojawiły się pieniądze, prowadziliśmy politykę zachłanności, postępując tak, jak ci, którzy wyzykiwali nas niedawno. Zaczęliśmy wyzykiwać siebie tak, jak oni nas wyzykiwali. Niszczyliśmy nasz kraj, jak oni go niszczyli. Rabowaliśmy, jak oni rabowali. Przyjęliśmy postawę kolonizatorów naśladowując najgorsze ich przywary. Nie nabraliśmy żadnej z ich zalet, przyłgnęliśmy do wszystkich ich wad”.

W innym miejscu mówi: „Kim oni są, ci ludzie? To są właśnie ci, którzy wywalczyli dla nas niepodległość; ludzie o smach większych niż ktoregokolwiek z nas. Ludzie wykształceni, ludzie utalentowani — ale również ludzie, którzy dojrżeli w polityce dogodną kryjówkę dla lotrostwa. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Radykalizacja, importowane ideologie. Ludzie budowali własne osobowości na koncepcjach innych ludzi, na innych ludzi doświadczeniach. Tacy, którzy zwykle cytują; którzy nigdy nie są tak nieuczciwi, jak wówczas, gdy mówią »ja myślę« i nigdy bardziej uczciwi, gdy twierdzą: »A. powiedział to, B. napisał tamto, C. utrzymywał, D. wierzył“.

Bardziej jeszcze niż chaos i bezprawie niepokoi Raya pojawienie się nowej paramilitarnej formacji policyjnej, która — jak z prerażen-

(Ciąg dalszy str. 9)

HILAIRE BELLOC

(1870—1953)

HISTORIA FRANIA, KTÓRY MIMO PILNOWANIA PRZEZ NIANIĘ WYMKNAŁ JEJ SIĘ I ZOSTAŁ POŻARTY PRZEZ LWA

Był sobie chłopczyk zwany Franiem:
Rodzina jego, moim zdaniem,
Wokół brzdąca wręcz skakała,
To dolewając mu Kakaa,
To podsuwając plastry Szynek
Lub wydłubany z ciast Rodzynek,
To zapewniając Uciech szereg,
A to: sadzanie na Rowerek,
Pokazywanie: „Sójka, O! o!”,
Lub nawet branie go do Zoo —
Gdzie właśnie z Życiem oraz Zdrowiem
Rozstał się Franio; co opowiem.

Trzeba wam wiedzieć — trudno zresztą
Nie wiedzieć, skoro uszy Rzesz tą
Przestroga karmię nieprzerwanie,
I to od lat — że kiedy Nianię
Bez pozwolenia się Opuszcza
(Zwłaszcza gdy wokół Tłum lub Tłuszcz),
Złe to zazwyczaj ma Następstwa.
Takiego Franio się Przystępstwa
Dopuszczał nie raz i nie dwa:
Tego zaś Fatalnego Dnia
Starczyła Nieuwagi Chwila
Ze strony Niani — a dał Dyla.
Nie ubiegł wszakże nawet jarda,
Kiedy wyrosła przed nim Harda
Paszczka Lwa, którą Król Pustyni
Rozwarł — i, jak to zwykle czyni,
W tempie tak szybkim, aż Furczało,
Pożerać ją Dziecięce Ciało
Z Mlaskaniem (prymitywny Żłób!):
Posilek zaczął zaś od Stóp.

Nietrudno wczuć się w to napięcie,
Z jakim o palcach swych i pięcie,
Kostce, kolanie i gołeni
Myśla ci, którzy są jedzeni.
Nie dziwi więc, że te doznania
Wzbudziły Opór w duszy Frania
I że wykrzyknął nawet: „Hola!”.
Gorsza byłaby jego dola.
Gdyby okrzyku nie dosłyszał
Dozorca, który, chociaż dyszał
Z trudem, był bowiem nader tłusty,
Dobiegł ze zbiegającymi ustami
Do klatki i zawołał: „Mruczek!”
(Tak Lew się wabił.) „Dość tych sztuczek!
Wstyd mi, że tak się zachowujesz!
Wypluj natychmiast to, co żujesz!
Proszę otworzyć zaraz paszczę,
Bo już cię nigdy nie pogłaszczę!”

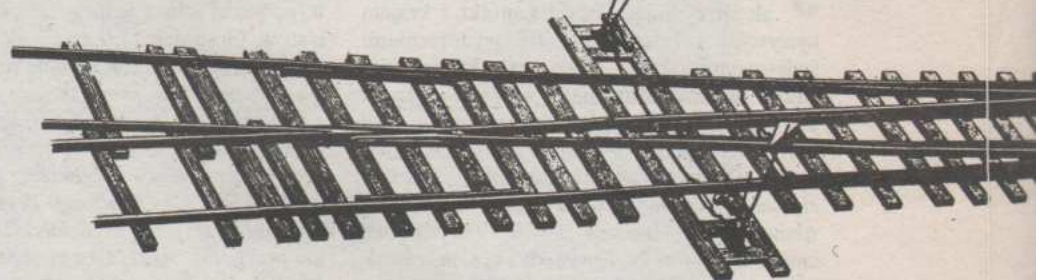
Lew, czując snadź, że Kara bliska,
Wypuścił Smaczny Kąsek z pyska
I, choć wypadek to dość rzadki,
Z Gniewnym Pomrukiem wpełził do Klatki.
Dozorca, poskromiwszy Zwierzę,
Już-już udzielić miał Ofierze
Pierwszej Pomocy, gdy Fakt Srogi
Pojął: Lew zjadł nie tylko Nogi.
Pomoce Drugie, nawet Trzecie,
Na nic już były: hoże Dziecię
Leżało bez tchu i bez słowa,
Gdyż pozostała tylko Głowa.
Gdy z wieścią tą wróciła Niania,
Rodzice ze Zdenerwowania
O mało nie Podnieśli Głosu;
Matka, słaniając się od Ciosu,
Chusteczką lzy otarła z Ocz
I rzekła: „Zawsze mówię: ucz
Takiego, a on nie usłucha!”
Ojciec zaś z męską Siłą Ducha
Skłonił Rodzinę do Zebrania,
W trakcie którego przykład Frania
W całej żalości i Mizerii
Dał pod rozwagę Smarkaterii
Jako Przestrozę. Co do Niani,
Rodzice, choć Zbulwersowani
Z początku, po Namysłu Chwili
Zatrzymać ją postanowili.
Ktoś musiał Pieczę mieć nad Działwą,
A dziś o Ludzi nie jest łatwo.

przełożył Stanisław Barańczak

PAWEŁ

MOSSAKOWSKI

WIATR



S potkałem go w letni wieczór na peronie Dworca Gdańskiego. Mimo panującego wciąż upału ubrany był w gruby, ciemny garnitur: najwyraźniej kogoś oczekiwał.

— Cześć Jarek.
— A, cześć... — wydawał się zaskoczony moim widokiem. — Też domujesz?
Nie zrozumiałem.
— Nie — odpowiedziałem niepewnie — jadę do Nasielska. Mamy tam obok chałupę.
— Żona czeka? — spytał lekko drwiącym tonem.
— I dzieci — westchnąłem. — Słuchaj... a co to znaczy „domujesz”?

Uśmiechnął się z zadowoleniem.
— Wiesz, tu zaraz przyjeżdża pociąg z Moskwy. Prawie same Rosjanki. A tu u nas, wiesz, hotele drogie, miejsc zresztą nie ma. Więc się proponuje: „doma chcesz”? Tak są wymęczone podróżą, że o niczym innym nie marzą. A niektóre umieją odpłacić się za gościnę...

Kiedy po przyjeździe do Nasielska opowiedziałem żonie o tym spotkaniu, nie ukrywała oburzenia.

— Hiena! — powtarzała z pasją. — Zwyczajna hiena!

Ja nie byłem taki surowy. W przeciwieństwie do mojej żony znałem go, a to zawsze usposabia tolerancyjnie. Znałem go, jeszcze z zamierzchłej, gierkowskiej epoki, jako kompletnego maniaka seksualnego. „Łóżko plus dziewczyna” to był cały jego świat, jego fortuna doczesnego zbawienia. Codziennie przebiegał Krakowskie Przedmieście, okolice „Harendy” zwłaszcza: pies myśliwski węszący za zdobyczą.

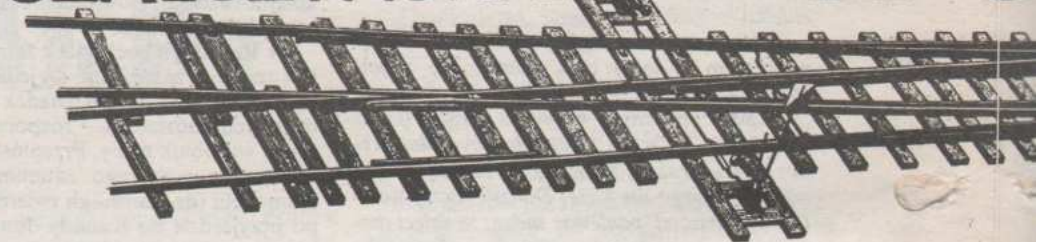
Skąd miał pieniądze na to kosztowne hobby nikt nie wiedział. W ogóle niełatwo go było rozpracować: niezbyt rozmowny (z wyjątkiem jednego tematu), powściągliwy, rzadko pijący. Wieczny student z dobrymi układami w spółdzielni? Handlarz złota? Zawodowy pokerzysta? Wiele wersji krążyło. Nie był specjalnie lubiany, jego powodzenie u dziewczyn nie przysparzało mu przyjaciół. Niektórzy przebąkaliwali nawet o kontaktach z UB, ale tak często mówiono o ludziach bez środowiskowego przydziału.

Mimo, że wielu mu zazdrościło, on sam nie wydawał się zadowolony ze swojego życia. N tu, mówił. Ciągnęło go na Zachód. Kiedyś Antek-Malarz wyjeżdżał do Szwecji kolorować pocztówki i z tej okazji wyprawił pożegnalne przyjęcie. On też tam był. Siedział osowiały, milczący bardziej niż zwykle, nie zwracał uwagi na kręcące się wokół dziewczyny. Gapił się tylko na Antka jak na przybysza z obcej planety. Antek upił się sentymalnie. Będę za wami tęsknić, powtarzał, już właściwie tęsknię... Wtedy po raz pierwszy widziałem go wściekłego. Aż poczerwieniał. Za czym tu, kurwa, tęsknić, krzyknął, jedziesz, to się ciesz. Też bym wyjechał i już tu nie wrócił, ale te chuje nie dają mi paszportu. Zapamiętałem ten incydent: to był jedyny raz, gdy się choć trochę odsłonił.

BARBARA

CZAŁCZYŃSKA

RO



J uż po raz któryś tam z rzędu przepływałam kanał La Manche w drodze z wysp brytyjskich na kontynent. Przeprowa ta, która powinna już być dla mnie „chlebem powszednim”, za każdym razem jednak stawała się wielkim przeżyciem. Oto jestem tutaj — myślałam sobie — w miejscu, które niegdyś obrastało dla mnie w wielką legendę. W miejscu, o którym myślałam, że nigdy nie uda mi się znaleźć. W miejscu, które niegdyś było dla mnie marzeniem, w poprzek którego układał się nasz trudny polski los. Z jednakowym więc wzruszeniem obserwuję za każdym razem przygotowania do wyjścia statku w morze, krzątanie marynarzy, wspinanie się po trapie nowych pasażerów i wjazd do szeroko otwartej paszczy promu samochodów. A potem patrzę jak z wolna odsuwa się od nas ląd, zapadają poza linię horyzontu białe skały wybrzeża i jeszcze raz przypomina mi się, że ziemia jest okrągła. I kiedy zniknie z pola widzenia ostatni skrawek ziemi, mogę spokojnie zejść pod pokład, zasiąść w wygodnym fotelu i sączyć piwo bezmyślnie gapić się w bezmiar otaczającej mnie wody. W różnorodnym tłumie mogę być jedną z wielu osób, niczym się nie wyróżniającą i zapomnieć na parę godzin o paszportach, wizach, dewizach i strachu przed podejrzliwym i czujnym okiem celnika. Parę godzin urlopu od pełnej niepokoju rzeczywistości. Ale to jeszcze nie wszystko, bo dalsza podróż jest przedłużeniem tego błogostanu. Ze statku przechodzę do czekającego już na pasażerów pociągu, wyszukuję odpowiedni wagon i w miarę możliwości pusty przedział, w którym rozsiał się wygodnie śledzę obojętnym okiem równiny Belgii, jej pola, wieś, miasta i miasteczka. Tym razem jednak moja szczęśliwość nie trwała długo. Na najbliższej stacji drzwi przedziału otwarły się z trzaskiem i do środka wtargnęła zażywna jejmość powtarzając w kółko:

— J'ai une place réservée. Cinquante cinq.

Upór z jakim ta pani powtarzała to jedno zdanie wskazywał, że nie mam do czynienia z osobą znającą język francuski. Dopiero kiedy w ślad za nią do przedziału zaczęto wnosić niezliczoną ilość pakunków i pakunczków nabrałam pewności, że mam do czynienia z rodaczką. Odezwałam się więc spokojnie w naszym wspólnym języku:

— Niech się pani nie męczy z tym francuskim. Ja też jestem Polką.

Paniusia mało nie rozplynęła się ze wzruszenia we łzach.

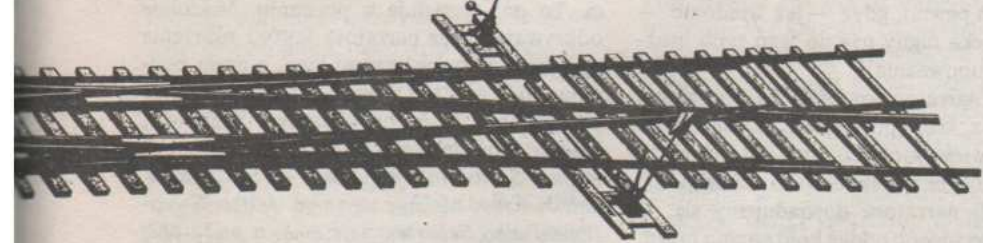
— Boże co za szczęście! — zawołała. — Nareszcie mam się do kogo po ludzku odezwać.

A le jakby trochę przestraszywszy się swojego rozczerwienia spojrzęła na mnie podejrzliwie i spytała:

— A pani skąd?

— Z Anglii — odpowiedziałam.

OD WSCHODU



W 81. jego marzenie spełniło się: wyjechał do RFN-u. Pracował jako tragarz na dworcu w Hamburgu, ożenił się z Niemką o dźwięcznym imieniu Gundrud, wkrótce potem rozszedł. Dalej ślad się urywał. Podobno robił jakieś mętne interesy, stręczycielstwo, porno-filmy, te okolice. Nasz wspólny znajomy, który przebywał na stypendium w Berlinie, przysięgał, że widział go na scenie „hot-klubu”. Możliwe. Nie zdziwiłbym się.

Wrócił niemal równo w dziesiątą rocznicę swojego wyjazdu. Zmieniony nieco, pogrubiał. Dlaczego wrócił? Co tam porabiał? Nie udało się od niego wyciągnąć. Pod tym względem się nie zmienił.

W kilka miesięcy po spotkaniu na dworcu byłem na przyjęciu u przyjaciół na Saskiej Kępie. Zabałaganilem tam trochę, więc aby stawić czoła swojej żonie, postanowiłem wrócić piechotą. Mijałem opasłą kopułę Stadionu X-lecia. Pod zamkniętymi jeszcze bramami czerniały kępki ludzi. Wtedy go zauważyłem.

Szedł w stronę stadionu dźwigając dwa potężne czemadany. Dwa kroki przed nim maszerowała wysoka, ładna, choć przesadnie umalowana dziewczyna.

— Hej, hej! — zawołałem radośnie.

Odwrócił się, z wyraźną ulgą odstawił walizki. Witając się z nim poczułem, że dłoń mu pogrubiała.

— To Ninoczka.

Ninoczka skinęła głową i niezbyt eleganckim gestem wskazała na zegarek. Westchnął cicho i podjął swój ładunek.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu, nim sam, nawet nie zapytany, zaczął mówić.

— To się samo tak stało. Jak u nich zrobili stan wojenny, w sierpniu, pamiętasz, ona była akurat u mnie. Płakać zaczęła, ślozy lać. Że koniec demokracji, że koniec wolności. Żal mi się jej zrobiło, od razu sobie przypomniałem, jak ja kiedyś w tym Hamburgu taki zupełnie zagubiony, a Gunia tak ładnie się zachowała. Więc jej powiedziałem, że się z nią ożenię. Od razu w poniedziałek złożyliśmy papiery.

— Asapał się od tego mówienia, przystanął, ale propozycję pomocy odrzucił.

— W środę się okazało, że ten ich stan wojenny to lipa, no, ale głupio się już było wycofać. I mam teraz w domu małą hurtownię...

Zatrzymał się znowu. Nie mógłby już pracować na dworcu w Hamburgu, pomyślałem. Otarł dłonią czoło i z widoczną lubością wystawił twarz pod uderzenia chłodnego, jesiennego wiatru.

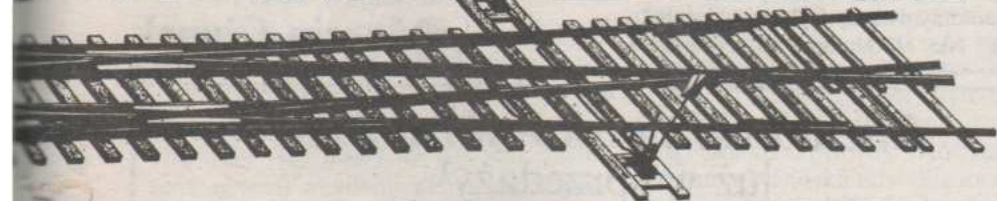
— Ze wschodu wieje — mruknął nie otwierając oczu. — Jak zawsze...

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Idąca przodem Ninoczka zaczęła nam dawać niecierpliwe znaki.

— Bystrieje, bystrzeje — wołała.

Już otwierano bramy.

RODACZKA



— To pani tutejsza?

— Nie — uspokoiłam ją — ja też z Polski, tylko na razie jeszcze jadę do Niemiec.

— A to szkoda. Myślałam, że razem będziemy jechać do końca. Zawsze to różniej we dwójkę.

Kobieta rozsiadła się na swoim zarezerwowanym pięćdziesiątym piątym miejscu i zaczęła się przechwalać:

— Ja tu mam brata. Już od przedwojny. Żeby pani wiedziała jaki ma dom! Kuchnia wykafelkowana od sufitu do podłogi. A w pokojach to same dywany. Samochód też mają. Bratowa to mnie wozila wszędzie. Do Ostendy — pani wie, to nad morzem, i do Brukseli i gdzie indziej. Wszędzie czyściutko mają. Nie tak jak u nas. Grzecznie. W restauracji to się człowiek boi usiąść tak elegancko. I kupili też, proszę pani. O, te buty, a drugie mam w walizce. I ten sweter co mam na sobie. I dla rodziny też wiozę. Pełno rozmaiłości nadawali. To będzie radość po powrocie! A jaki tam porządek. Ogródek mają, to wszystko maszynami robią. To ja się, proszę pani, napatrzyłam za wszystkie czasy. A ja proszę pani — nagle się jej głos załamał — to wstyd się nawet przyznać. Rentę mam po mężu. Najniższą. Pani kochana! — tu kobieta rozplakała się już na dobre — nawet powiedzieć nie można. Mieszkanie brudne. Skąd ja wezmę na malowanie za te moje marne grosze? Ledwo na życie starczy. Do czego wracam. Elektroluks zepsuty. Naprawić nie ma za co, bo części nie ma, a na lewo kupić to mnie nie stać. Żebraków z nas zrobili. Żebraków. Gdzie się człowiek ruszy, to tylko się musi wstydzić.

Kobieta rozcierała pracowicie po twarzy spływającą wraz ze łzami szminkę.

— Bardzo panią przepraszam, ale to jak człowiek po paru miesiącach swojego spotka, to się tak rozklei. Nareszcie się można wyzalić. Bo jakże ja im to wszystko powiem? Jak? Dywany, kafelki, ogródek. A człowiek na życie nie ma.

Pociąg dojeżdżał do stacji, na której miałam wysiadać. Zaczęłam powoli zbierać się do wyjścia. Kiedy zdjęłam walizkę z półki — moja współtowarzyszka zawołała z rozpaczą w głosie:

— To już pani wysiada!

— Niech się pani nie martwi — uspokoiłam ją — na pewno tu ktoś przyjdzie na moje miejsce.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Wyjęła lusterko i zaczęła poprawiać rozmazany makijaż. Kiedy wychodziłam powiedziała:

— Niech panią Bóg błogosławi.

Po czym długo machała do mnie z okna odjeżdżającego pociągu.

Patrzyłam w ślad za nią i myślałam o drogach, na których zawsze można spotkać podróżującą rodaczkę.

HILAIRE BELLOC

HISTORIA MATYLDY, KTÓRĄ ZA CIĄGŁE KLAMSTWA SPOTKAŁA ŚMIERĆ W PŁOMIENIACH

Matylda tak lubiła kłamać,
Że każdy kłął: „A niech ją Psiamać!”.
Ciocia Matyldy, od Zaranja
Żywota nie znośząca Łgania,
Usiłowała każdej Bzdurze Wierzyć,
wysiłki czyniąc duże,
Ażeby Brakiem Zaufania
Nie spowodować Załamania
Się w dziecku, bądź co bądź Sierocie,
Pewności Siebie. Ech, te Ciocie!...
Naiwność ludzka nie zna Granic!
Cała Teoria była na nic!

Raz bowiem, gdy w Wieczornej Porze
Pałały na zachodzie Zorze,
Tak jak to jest zwyczajem Zórz —
Matyldzie, Zabawami już
Znużonej, świta koncept świeży:
Do Telefonu chyłkiem bieży
I, pod pretekstem, że Się Pali,
Żąda, by zaraz przyjechali
(„Wystarczą dwie lub trzy drużyny —
Niech nie zapomną wziąć Drabiny!”)
Strażacy, ta Londynu chwała.
Godzinka nawet nie zleciała,
A już wzmagając Nastrój Grozy
Dzwonieniem w Dzwonki, pędzą Wozy,
Pełne Dorodnej oraz Chwackiej
Młodzieży w Kaskach; ta, Strażackiej
Tradycji wierna, woła chórem:
„Hejże-ha! Precz z Czerwonym Kurem!
Szlach w garść, bo dom Matyldy sponie!”.
Z Brytyjską Werwą klaszcząc w dłonie,
Tłum Gapiów Huczny grzmiał Wiwatem;
Mężnie drabiny wzniosłszy zatem,
Czternaście szyb w Balowej Sali
Strażacy Stłukli, po czym Włali
Do środka Bardzo Dużo Wody,
Lejąc ją wedle tej Metody,
Która Sikawkę, to Narzędzie
Ratunku, każe w pierwszym rzędzie
Kierować na Precjoza: Wazy
Chińskie, Akwaria lub Obrazy.
W Ryku Wód, Brzęku i Hałasie
Dopiero po Niejakim Czasie
Ciocia Matyldy była w stanie
Wypersadować im sikanie,
Tłumacząc, że przepięknie Lali,
Lecz nic niestety się nie Pali.
Nawet po takim Argumencie
Zastęp Wybawców nieugięcie
Sikał — aż wreszcie Hojny Datek
Na Fundusz Zaczadzonych Matek
Zdołał wprawiony w Lania Szal huf
Naklonić do Zwinięcia Szlauchów.

Niedługo po tym Incydencie
Ciocia Matyldy — niepojęcie
Naiwna w dalszym ciągu dama —
Wybrała się wieczorem (sama:
Matylda, że Przebrała Miarę
W Kłamstwach, musiała Ponieść Karę),
Na premierowe przedstawienie
Tragedii „Hamlet”. Gdy na scenie
Miał miejsce Przebieg Akcji rączy,
Ciocia (ciekawa, jak się skończy),
Śledziła Rozwój Zdarzeń krwawy,
Nie zdając sobie wcale sprawy,
Że w domu właśnie — Wybuchł Pożar!
Tym razem nie był wcale to Żar —
Tobliwy Wymysł Siostrzenicy!
Każdy przechodzień na ulicy,
Wiedząc o Przeszłym Incydencie,
Był jednak przekonany Świącie,
Że i tym razem Wrzaski — które
Matylda (przez Temperaturę
Rosnącą bez umiarkowania
Zmuszona do poszukiwania
Pomocy u Postronnych Osób)
Wydobywała z siebie w sposób
Rozdzierający Ludzkie Ucho —
To zwykła Psota. „Milcz, Kłamaczucho!” —
Odpowiadali więc, nieczuli,
Wrzeszczącej „Pali się!” Smarkuli.
Ciocia, wróciwszy po „Hamlecie”,
W miejscu, gdzie Dom był, a w nim Dziecię —
(Jęcz, Liro moja! Fletnio piszcz!) —
Zastała jeno Garstkę Zgliszcz.

przełożył Stanisław Barańczak

Nabokov, czyli potęga narracji

**VLADIMIR NABOKOV:
Prawdziwe życie Sebastiana Knighta.
Przeł. Michał Kłobukowski,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 1992.**

Kiedy krytykowi przychodzi się zmierzyć z taką powieścią, jak *Prawdziwe życie Sebastiana Knighta*, targają nim sprzeczne uczucia. Z jednej strony niezwykle cieszyć go musi wyrafinowana forma dzieła, o wielopoziomowej narracji (czy szerzej — komunikacji między różnymi „mówcami”); z drugiej jednak strony skomplikowanie narracyjne powoduje, iż każda hipoteza sensu powieści wydawać się musi ryzykowna, a precyzyjna i umotywowana interpretacja — niemożliwa.

Tak dzieje się zawsze, gdy w grę wchodzi dzieła VLADIMIRA NABOKOVA. Jest on bowiem jednym z najwybitniejszych, w naszym stuleciu, prozaików-eksperymentatorów, wymienianym obok Prousta, Joyce'a czy Becketta.

Literackie zabawy Nabokova są jednak wyjątkowe, gdyż sprawiają czytelnikowi radość podwójną: estetyczną i poznawczą. Możemy znaleźć u tego pisarza rozmaite eksperymenty narracyjne, możemy wysledzić misterne gry konwencjami czy pomysłami kompozycyjnymi. Ale to nie wszystko. Każda powieść Nabokova jest jeszcze poza tym pasjonującą, żywą, skrzącą się humorem historią, którą czyta się jednym tchem. Ów Nabokowski dar opowiadania sprawia, iż *Lolita* czy *Pnin* to utwory zdecydowanie lepsze od niekomunikatywnych, kuglarskich wręcz produkcji rozmaitego autoramentu „awangardzistów”. Te ostatnie cieszą się zazwyczaj krótką sławą, bo czas najlepiej weryfikuje wartość literackiego dzieła. Jeżeli więc mało kto pamięta dziś francuską

„nową powieść” sprzed lat trzydziestu, jest to najlepszym dowodem przemijalności wątpliwych eksperymentów.

Powieść *Prawdziwe życie Sebastiana Knighta* dobitnie potwierdza, że Nabokov jako prozaik był już w pełni ukształtowany w pierwszych latach pobytu w Ameryce. Wymieniona książka pochodzi bowiem z 1941 roku (to pierwsza powieść Nabokova w języku angielskim), a odnajdujemy w niej właściwie kwintesencję jego pisarstwa.

Całością rządzi tu, podobnie jak na przykład w *Pninie*, narracja, a ściślej dwa jej aspekty: sposób opowiadania oraz wzajemne relacje między autorem, narratorem i bohaterem.

Powieść Nabokova dotyczy życia i twórczości fikcyjnego pisarza, Sebastiana Knighta. Pewne elementy biografii bohatera przywodzą na myśl życiorys autora: łączy ich data urodzenia, rosyjskie pochodzenie oraz pobyt w Anglii w tym samym mniej więcej czasie. Jednakże te powierzchowne podobieństwa nie pozwalają na razie utożsamiać Nabokova z Knightem. Wraz z narastaniem treści sytuacja się wyraźnie zmienia. Knight jawi się tu bowiem jako wybitny powieściopisarz, obdarzony fenomenalną inteligencją, mający świadomość każdej chwili oraz obdarzony poczuciem szczegółu. Dodatkowo znajdujemy w nim twórcę wyrafinowanego, nie wahającego się przed eksperymentami z formą, a nawet — przed poszukiwaniem form nowych. Ten portret Knighta, jaki przedsta-

wia nam narrator, jest w gruncie rzeczy portretem autora (oczywiście nie możemy stwierdzić tego na pewno, gdyż — jak wiadomo — fikcja literacka nigdy nas do tego typu utożsamień nie upoważnia).

Kim jest narrator powieści? To brat zmarłego Knighta, który postanawia napisać o nim książkę (powieść, którą czytamy jest właśnie tą książką). Z ust bezimiennego (bo nie raczył się przedstawić) narratora dowiadujemy się, iż chce on w ten sposób oddać hołd swemu bratu, choć uważa siebie za dyletanta w dziedzinie literatury. Jakże więc — zapyta dociekliwy czytelnik — mógł napisać biografię? Wszak dyletanci nie podejmują takich przedsięwzięć! Narrator wyjaśnia jednak, że odczuwał pewne psychiczne powinowactwo ze zmarłym bratem, co dało mu wystarczający powód i prawo, by chwycić za pióro.

Przez całe opowiadanie przewijają się uwagi narratora na temat jego literackiej ignorancji. A jednak nie należy wierzyć ani jednemu słowu tego osobnika. Jest on zwyczajnym oszustem. Jako „dyletant” wypowiada się bowiem szeroko na temat powieści biograficznej („gorszej literatury jak dotąd nie wynaleziono”), fachowymi uwagami opatruje dzieła brata, nie mówiąc o tym, iż streszcza je jak profesjonalny literaturoznawca, ba, uprawia nawet polemikę z niejakim Goodmanem (autorem wyjątkowo ohydnej książki o pisarstwie Knighta), posługując się przy tym najwymyślniejszymi chwytami krytyka literackiego!

Jest rzeczą oczywistą, że to nie narrator z nas kpi, ale ten, kto go stworzył — Nabokov. Pisarz zresztą na tym nie poprzestaje. Wyposażywszy swego narratora w fachową wiedzę literacką (wie on np., że bohaterami powieści brata są „metody kompozycji”), a zarazem każąc mu w nią powątpiewać, wysłał go na poszukiwanie wszelkich śladów po niezującym pisarzu. Z wypowiedzi Knighta, z okrucich wspomnień różnych ludzi narrator próbuje zbudować portret bohatera (przez wszystkie lata widywali się sporadycznie). Nie chodzi tu jednak o uzupełnienie brakujących faktów z biografii, ale o dotarcie do jaźni Knighta, o hipotetyczny obraz jego osobowości.

Czy ta próba wdarcia się w wewnętrzny świat bohatera kończy się dla narratora pomyślnie? Czy stwierdzenie, że Knight był tajemniczym, samotnym ekscentrykiem wyjaśnia tu cokolwiek? Nie, ale kluczem do wyjaśnienia

zagadek duszy Sebastiana jest tu wspomniane wcześniej psychiczne powinowactwo obu braci. To ono decyduje o poznaniu. Mozolnie odkrywane przez narratora fakty i zdarzenia są jedynie potwierdzeniem tego, o czym podświadomie wiedział zawsze. A tym czymś było przekonanie, iż jest on tożsamy z Knightem, inaczej mówiąc, że jest właśnie nim: „(...) maska Sebastiana przywarła mi do twarzy, podobieństwo nie daje się zmyć. Jestem Sebastianem albo Sebastian jest mną, a może obaj jesteśmy kimś, kogo żaden z nas nie zna”.

O kim mówi narrator w ostatnich słowach tego zdania? Cóż to za obcy, którego nie zna ani opowiadający, ani Knight? Nasuwa się tylko jedno wyjaśnienie: to sam Nabokov, którego już wcześniej utożsamialiśmy z Knightem. Tak oto relacje między trzema podmiotami tej powieści układają się w pozorny paradoks: autor napisał książkę o sobie samym, zatrudniając narratora, który okazał się Nabokovowskim alter ego. Jednakże nie dajmy się zwieść pozorom, zwłaszcza, jeśli układają się one w paradoks. Owo utożsamienie autora, bohatera i narratora jest przecież naturalne — wszak to Nabokov wymyślił dwie pozostałe postaci, które traktować trzeba jako funkcje psychiki pisarza.

To pozorne skomplikowanie relacji posłużyło tu do genialnego wprost obnażenia konwencjonalności figur narratora i bohatera. Gdyby to jednak miało być prawdą ostateczną, Nabokov byłby tylko znakomitym literackim graczem. Cała przewrotność książki polega bowiem na tym, iż mimo odkrycia umowności postaci, autor nie odmawia im psychicznego i fizycznego bytu! Knight oraz narrator są tak sugestywni, tak barwni, że mimowolnie wierzymy w ich istnienie. Oglądani uważnie, niczym pod mikroskopem, jawią się jako postaci pełne życia, „życia prawdziwego”, a nie „papierowego”. Nabokov mógłby powtórzyć za swoim bohaterem: „Zawsze mnie to dręczyło, że ludzie w restauracjach nigdy nie dostrzegają tych ożywionych tajemnic, które przynoszą im potrawy, odbierają płaszcze w szatni i zawczasu otwierają drzwi (...) Często czuję się, jakbym siedział wśród ślepców lub szaleńców, kiedy pomyślę, że w całym tym tłumie mnie jednego zastanawia leciuteńkie chromanie dziewczyny sprzedającej słodycze”.

Marcin Ciupek

Książki nadesłane

OFICyna CRACOVIA

MICHAŁ ROŻEK: „KRAKÓW CZYLI SIÓDMY CZAKRAM ZIEMI”, Kraków 1991.

Nowy, znakomity przewodnik krakowskiego historyka i badacza po tajemniczych osobliwościach naszego miasta.

„ALFABET KRAWCZUKA MITOLOGICZNY”, Kraków 1991.

Kto nie ma czasu czy ochoty zagłębiać się w *Mity greckie* Gravesa, chętnie sięgnie po ten bardzo osobisty przewodnik po mitologii. Wiele tu także akcentów polskich, m.in. w rozdziałach: *Orfeusz i Wilanów*, *Romulus i Lechici*, *Tezeusz i Witkacy*. Znakomite ilustracje Szymona Kobylińskiego.

JERZY S. ŁĄTKA: „TAJEMNICE HAREMÓW”, Kraków 1992.

Książka o haremach jest wynikiem dwudziestoletnich zainteresowań autora dziejami i kulturą muzułmańskiego Orientu, którego harem, instytucja intrygująca zwłaszcza Europejczyka, był wyrafinowanym zwieńczeniem. Pozwala ona lepiej zrozumieć zarówno istotę mentalności Turków, jak i specyfikę funkcjonowania państwa osmańskiego.

WYDAWNICTWO OSSOLINEUM

TYTUS CZYŻEWSKI: „POEZJE I PRÓBY DRAMATYCZNE”, Wrocław 1992.

Utwory znanego polskiego poety, twórcy m.in. *Pastorałek*, i malarza formisty, w opracowaniu Alicji Baluch. Seria Biblioteki Narodowej.

ANDRZEJ CIEŃSKI: „PAMIĘTNIKI I AUTOBIOGRAFIE ŚWIATOWE”, Wrocław 1992.

Pierwsze w polskiej literaturze syntetyczne opracowanie światowego piśmiennictwa pamiętnikarskiego i autobiograficznego — gatunków odgrywających od wieków wielką rolę w kulturze i społeczeństwie. Opierając się na obfitej literaturze zagranicznej, głównie amerykańskiej i angielskiej, autor przedstawił zasadnicze problemy wiedzy o pamiętnikarstwie.

ZUZANNA BORCZ: „POLSKIE PO-CZTY”, Wrocław 1992.

Następna bogato ilustrowana cenna pozycja z cyklu *Polskie Rzemiosło i Polski Przemysł*.

„KSIĘGA TYSIĄCA I JEDNEJ NOCY”, Wrocław 1992.

Wybrane opowiesci w wyborze i przekładzie Władysława Kubiaka.

PAWEŁ TARANCZEWSKI: „O PŁASZCZYŹNIE OBRAZU”, Wrocław — Kraków 1992.

„Rozważania te wymagają usprawiedliwienia. Mają one bowiem sens o tyle, o ile uznamy, że malarstwo, czyli operowanie w jakiś sposób farbami na płótnie ma w ogóle rację bytu. To że się maluje, fakt powstawania obrazów, dzisiaj nie może takiej racji dostarczyć, pozwala jednakże o nią zapytać” (ze wstępu).

Rozmówki polsko-ukraińskie już w sprzedaży!

W ostatnim czasie odnotowujemy wzrost zainteresowania naszego społeczeństwa, w tym szczególnie przedsiębiorców, handlowców oraz turystów rozwojem wszechstronnych kontaktów z niepodległą Ukrainą.

Zainspirowało to Zarząd Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód w Krakowie do wydania w popularnej formie „Rozmówek polsko-ukraińskich” o profilu gospodarczo-turystycznym.

„BARCELONA”, Wrocław 1992.

Albumy miast i kompleksów zabytkowych, sygnowane znakiem firmowym florenckiego edytora BONECHIEGO, znane są niemal na całym świecie. Powodowane chęcią dostarczenia nam polskiej wersji niektórych z tych efektownych wydawnictw, Ossolineum dołączyło do grona współwydawców Bonechiego.

„DEUTSCHES POLEN-INSTITUT. NIEMIECKI INSTYTUT KULTURY POLSKIEJ 1980-1990”, Darmstadt 1992.

Sprawozdanie z dziesięciolecia działalności, opracował Albrecht Lempp.

ZBYSZEK ATEMBORSKI: „TAUTOLAND I INNE WIERSZE”, Płock 1992.

Wydany przez Klub Artystyczny Płoczan

Wydawnictwo opracował zespół autorski pod przewodnictwem dr Bożeny ZINKIEWICZ-TOMANKOWEJ z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zamówienia przyjmuje oraz prowadzi sprzedaż detaliczną po kosztach własnych (15 tys. zł) Biuro Oddziału Wojewódzkiego Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód w Krakowie, ul. Karmelicka 32, oficyna, pokój nr 5, tel. 33-53-68, fax 33-58-82, od poniedziałku do piątku w godz. 12.00-15.00.

tom poety i prozaika, który od 1986 roku na stałe mieszka w Londynie.

MARIA DE LAFAYETTE: „KSIĘŻNA DE CLÈVES”, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, LSW, Warszawa 1992.

Księżna de Clèves (1678), tłumaczona i poprzedzona wstępem przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego, stanowi utwór przełomowy w dziejach literatury. Uważana jest za prototyp nowoczesnej powieści psychologicznej. Oznacza się wnikliwą i subtelną analizą ludzkich charakterów i namiętności.

MARIAN BUCHOWSKI: „EDWARD STACHURA. BIOGRAFIA I LEGENDA”, Magnes, Opole 1992.

Książka niezwykle i szczególnie cenna dla miłośników Stachury i jego dzieła. Zawiera m.in.: publikowane po raz pierwszy fragmenty dzienników pisarza, nieznane szczegóły życiorysu, opowiada o kulisach powstania *Siekierzady*. 137 fotografii.

NASYCENIE

ANNA MICIŃSKA: Stanisław Ignacy Witkiewicz. Życie i twórczość, Interpress, Warszawa 1992.

Istnieje w kulturze polskiej pewna tradycja, której „przyswajanie” nosi w sobie niezamierzone piętno delirycznego absurdu i groteski. Ale też ten rodzaj recepcji stanowi absolutnie stosowne dopełnienie owej tradycji, jest bowiem w szerszym wymiarze jej kolejnym ogniwem. Z grubsza rzecz biorąc tradycję tę wyznacza ciąg nazwisk WITKACY — GOMBROWICZ — MROŻEK (choćby wypadałoby pamiętać także o WYSPIAŃSKIM, MICIŃSKIM, a także PRZYBYSZEWSKIM; zwykle zapomina się o nich). Owe trzy nazwiska, traktowane niejako „łącznie”, stanowią wyraz chyba trwałego przewartościowania oglądu naszej kultury literackiej w ostatnim dwudziestolecu. Oglądu, jakkolwiek banalnie to zabrzmiało, akcentującego wyższość „europejskości” nad „rodzimością”. Nie sądzę też, aby nadal aktualna pozostawała teza postawiona przez Konstantego Puzynę na początku lat siedemdziesiątych, gdy pisał on we wstępie do wydania dramatów Witkacego, iż „do wszelkiej maści katastrofistów, dekadentów, glosiocieli lęku i niepewności lubimy odnosić się z pogardliwym pobłażaniem. Jeżeli już nie gromimy ich pryncypialnie, że tacy niekonstruktywni, że się nie włączają, nie budują zrębów, nie współtworzą jasnego jutra — to przynajmniej traktujemy ich jak kawiarzanych kabotynów, których myśli nie zasługują na konfrontację z rzeczywistością”. To chyba nie do końca prawda...

Mimo to jednak ciągle aktualne wydaje się pytanie, do jakiego stopnia rozmamłana gęba naszej „rodzimości”, odbita w lustrze WITKACY — GOMBROWICZ — MROŻEK, nabrała w końcu waloru przekonującej prawdy o nas samych. Można mniemać, że pomimo wszystko, mimo wielkiego renesansu pisarstwa i sztuki zwłaszcza Witkacego, mimo europejskiego patronatu UNESCO nad „rokiem Witkacowskim” z okazji stulecia urodzin artysty, mimo szlachetnego „snobizmu na Witkacego”, który zaowocował setkami mniej lub bardziej ambitnych publikacji — tak naprawdę do końca nie wiadomo, czy ten naznaczony piętnem tragizmu autor *Nienasycenia* to artysta „na serio” czy jakby nie całkiem. Jasne, że z pewnej akademickiej perspektywy nie wydaje się to najważniejsze — lub jest zgoła w ogóle nieistotne. Zapewne. Mam jednak dziwne przekonanie, że sam Witkacy już z za grobu ryczy ze śmiechu nad całym tym zgiełkiem, jaki odprawia się nie tylko nad jego twórczością, ale rów-

niez nad nim samym. Wielki happening, który zorganizowano w roku 1989 w związku ze sprowadzeniem zwłok ukraińskiego mołojca w roli autora 622 *upadków Bunga* jest bodaj największym „numerem” Witkacego, numerem, przy którym błędą nawet największe happeningi króla prowokacji artystycznej (i nie tylko), mianowicie Salvadora Dali.

W tym miejscu dochodzimy do zasadniczego dylematu, z jakim mamy do czynienia w przypadku całej wymienionej powyżej trójki twórców. Dylemat ów to nade wszystko świadomość swoistej schizofrenii odbioru ich dzieł. Każdy usiłujący „na serio” zajmować się analizą ich dorobku dochodzi w końcu do przekonania, że próba zrozumienia, uchwycenia, nazwania podstawowych sensów tego dorobku to mozół przybijania budyniu do ściany. Jerzy Jarzębski w fundamentalnej książce poświęconej autorowi *Pornografii* zwierza się czytelnikowi: „*Powiem po prostu: czytanie Gombrowicza jest dla mnie jeszcze teraz (...) przeżyciem radości, swobody i śmiechu; pisanie jednak o nim — to mozół, niewola i katanga!*” (*Gra w Gombrowicza*, s. 12). Sądzę, że nie inaczej jest z Witkacym i Mrożkiem. Nie tylko Gombrowicz, ale i dwaj pozostali krzyczą do badacza ich dorobku (aby raz jeszcze zacytować, nieco tylko trawestując, Jarzębskiego): „*ciśnij w kąt te scjentyzmy, które obrażają niepodległość naszego ducha. Baw się z nami! Graj — bo umrzemy ci w ustach!*” (s. 13). Każdy, kto nie pojmie, że Witkacy — Gombrowicz — Mrozek to zabawa i gra — przegrał! Przegrał nie dlatego, że nie podjął tej gry, ale dlatego, że wbrew intencjom tych pisarzy nie rozumiał, że zabawa i gra to kategorie równie poważne jak egzgeza ojców Kościoła.

Wydawać by się mogło, że nic łatwiejszego niż uciec od tego rodzaju kłopotów w prostą Kleinerowską formułę — „życie i twórczość”. Tak właśnie robi ANNA MICIŃSKA w swej książce pod neutralnym tytułem *Stanisław Ignacy Witkiewicz. Życie i twórczość*. Powiem od razu — książka jest piękna. Staranność wydania, jakość papieru, klasa reprodukcji, angielska i francuska wersja językowa oraz... wysoka cena — wszystko to razem sprawia, iż do rąk czytelników trafiła elegancka pozycja. Jeżeli, drogi Czytelniku, wietrzysz w tej pochwałce ironię, to nie jesteś zbyt daleki od prawdy. Otóż stało się tak, że Anna Micińska odwaliła kawał dobrej roboty: sporządziła bodaj najpełniejsze kalendarium życia i twórczości Witkacego, zebrała najpełniejszy z możliwych materiałów ikonograficznych, zacytowała kilkadziesiąt mniej lub bardziej znanych postaci, które cokolwiek miały z tym twórcą do czynienia, wszystko razem

ładnie poskładała i... No właśnie. Efekt tego taki, że powstał świetny album o Witkacym, natomiast wiedza o choćby częste istoty jego dorobku nie przyrosła ani na jotę. Anna Micińska nie podjęła gry z Witkacym, z czego zapewne trudno autorce czynić zarzut, niemniej jednak pamiętać należy, że „gra w Witkacego” winna stanowić choćby nieśmiały element każdego dyskursu o nim.

Kiedy autorka powiada we wstępie, że „*ten, którego Zachód nazwał 'génie multiple de Pologne', który ma na całym świecie coraz potężniejszą rzeszę wyznawców i admiratorów, którego nazwisko, a zwłaszcza pseudonim: Witkacy, teoretycznie weszło już w powszechną świadomość jako jednego z najwybitniejszych artystów XX wieku — w swoim własnym kraju praktycznie pozostaje nadal niemal zupełnie nieznany, a w każdym razie na pewno nie rozumiany i nie doceniony!*” — to pomijając cały szereg wątpliwości, jakie tego rodzaju uogólnienie budzi, od razu wyczuwamy tu pewną nieprzystającą do tej twórczości apologię i pretensję nie wiadomo do kogo, że nie zawędrowała ona pod strzechy. Zawędrować pod strzechy nie mogła, bo wymierzona była właśnie przeciwko „strzechowatej” świadomości narodowej, a ponadto nie zaowocowała mimo wszystko dziełem, które nazwać by można „opus magnum”. Niestety, Witkacy *Wesela* nie napisał i nie ma co udawać, że jest inaczej. Jeżeli nawet wielkość Witkacego realizuje się najbardziej w jego teorii „czystej formy”, to przynajmniej ja przyznaję z pokorą, że nie w pełni jestem w stanie dociec wszystkich jej meandrow, niuansów i zawiloci. A straszenie mnie Europą i UNESCO oraz udowadnianie mi w związku z tym, że jestem przygłup, który nie wie co wielkie, jakoś do mnie nie trafia.

O co w gruncie rzeczy chodzi? O to mianowicie, że obrona autora *Niemitych dusz* przez Micińską zmierza w zdecydowanie fałszywym kierunku! Rzecz nie na tym winna polegać, aby przytaczać — niejako na wagę — dziesiątki rozmaitych apologetycznych cytatów o Witkacym (jak gdyby nie było również tych zdecydowanie negatywnych!), ale podjąć, choćby nieśmiało, próbę powiązania rozmaitych elementów zjawiska WITKACY z kulturą, z której ono wyrasta i przeciwko której się buntuje. Tak, mniej więcej, powinna wyglądać „gra w Witkacego”. Książka Micińskiej nie o tym miała być, ale szkoda, że tego zasadniczego wątku nie akcentuje.

Biografia Witkacego jest sama w sobie literaturą, stanowi prowokację i wyzwanie wobec mieszczańskich postaw światopoglądowych i w związku z tym budziła ostre reakcje rozmaitych środowisk, które w książce Micińskiej skazane zostały na niebyt. Szkoda.

Mimo tych zdecydowanie krytycznych uwag książka broni się dobrze samym Witkacym, a dokładniej rzecz ujmując rzeczywistością znakomitą dokumentacją ikonograficzną. Ma ona charakter eklektyczny: obok reprodukcji obrazów i grafik są tu zdjęcia, reprodukcje plakatów, fragmentów listów, kwestionariuszy osobowych Witkacego itd. W tym względzie Micińska osiągnęła stan „nasycenia” zupełnie wystarczający do uchwycenia zasadniczych rysów tej twórczości. Wypada się zgodzić z autorką, że „*najatrakcyjniejsza wizualnie część albumu najmniej chyba wymaga eksplikacji!*”. Wypada tylko ubolewać, że odautorski komentarz budzi uczucie „nienasycenia”.

Andrzej Nowakowski

Kiedy nadzieja staje się złudzeniem

(Ciąg dalszy ze str. 5)

niem odkrywa — spełnia funkcję oddziałów egzekucyjnych, wykonując na własną rękę wyroki na domniemanych przestępcach. Z zupełną już zgrozą odkrywa w ich szeregach dawnego koleżkę szkolnego i antagonistę Douglasa Maderę. Madera — nie pozbawiony inteligencji, a nawet swoistej filozofii — pamięć ma mściwą i w trakcie ostatniej rozmowy z Rayem przypomina mu różne upokorzenia, jakich zaznał od niego. Po tej nieprzyjemnej, lecz wiele wyjaśniającej rozmowie Ray postanawia powrócić z rodziną do Kanady.

Rosnąca fala bezprawia i strajków osiąga wreszcie punkt kulminacyjny w buncie armii. W tym samym momencie umiera dziadek Raya, który już od spalenia sklepu zrezygnował z życia. Ray jedzie do babki, zostawiając żonę i syna pod opieką murzyńskiego strażnika, którego zna jeszcze z dzieciństwa. Kiedy wraca z rana do domu dowiaduje się o zamordowaniu rodziny przez paramilitarny oddział.

Książka kończy się odlotem Raya do Kanady. „*Bez bagażu?* — pyta podejrzliwie funkcjonariusz lotniska — na-

wet podręcznego?”. Ray rzeczywiście nie bierze ze sobą nic, nawet szcoteczki do zębów. „*Bo widzisz — wyjaśnia Grappler wrogość funkcjonariusza — on doszedł do wniosku, że możesz sobie na to pozwolić, ponieważ stać cię na to, by tam kupić wszystko od nowa. I nie myli się, co?*”

Ostatni akapit jest słaby. Jest sentymentalnym lamentem nad losem tych Hindusów, którzy są skazani na wieczną wędrówkę. Może więc zakończyć cytując pierwszy ustęp „*Mimowolnej brutalności!*”, któremu autor wyraźnie poświęcił wiele uwagi:

„*Przychodzi taki czas, kiedy słowo nadzieja staje się jedynie synonimem pojęcia złudzenie; jest to wszechobjmujące niebezpieczeństwo. Ten, kogo opuści poczucie rzeczywistości, w kim uwiędnie przychylność dla uczciwości — będzie pod koniec skazany na zapłatę wysokiej kary, od której nie będzie odwołania i nie pozostanie mu nic oprócz żalu pokrywającego pamięć jak popiół!*”

Jest to pierwsze zdanie książki, ale może być również zdaniem ostatnim.

Maria Niemojowska

Notatnik dyletanta

Reaktywowała się „Res Publica”, przyjmując dodatkowy przymiotnik „nowa”. Zaiste godny jest pochwały upór **MARCINA KRÓLA**, który po finansowej plajcie periodyku, podjął się ponownego patronowania piśmie, przeznaczonemu dla wyrafinowanego i poszukującego inteligenta. Obecna sytuacja redakcji jest być może bardziej sprzyjająca, gdyż przeszła ona od „kapitalistycznej” samodzielności pod materialne skrzydła Fundacji Batorego. „Res Publica nowa” prezentuje się w odmiennej szacie graficznej (forma wydłużonego zeszytu), ale leitmotiv tematów i idei jest ten sam co w poprzedniej „Res Publice”: liberalny konserwatyzm, czyli Tocqueville, Arendt, Kołakowski, rubryki — „Sztuka i życie”, „Atelier”, „Warszawski przegląd książek”, komentarze. W piśmie holdującym wysokim standardom myślowym zaskoczyła mnie reklama książek-wywiadów oficyny BGW. Zbiorną recenzję autorstwa Dawida Warszawskiego ozdabia zdjęcie okładki książki: Edward Gierek *Przerwana dekada*, ze wzruszającym zdjęciem bohatera, a pod nim symboliczny podpis: Pierwszy bestseller BGW, Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie 1990 (sic!). Interesujące byłoby ujawnienie przez wnikliwego recenzenta ile zysków, tym razem z eksportu, przyniósł ten książkowy potworek? Może wówczas jeszcze bardziej zaczęlibyśmy doceniać inwencję i menażerski talent BGW.

Brakuje w „Res Publice nowej” twórczych pomysłów i siły argumentacji. Skąd je jednak brać? Tak, jak upodabniają się różnej maści kolorowe pisemka, przeznaczone głównie dla spragnionych światowego życia naszych dziewcząt, żon i kochanek, tak też na inny sposób intelektualno-kulturalne periodyki solidarnie zatracają się w czymś sceptycyzmu i melancholii.

„Zderzak” znów otwarty. Młoda galeristka **MARTA TARABUŁA** nie poddała się zewnętrznym przeciwnościom — i po strychu na Dębnikach, wynajmowanych obszernych pomieszczeniach w kamienicy „szarej” w Rynku, trafiła teraz ze swoim artystycznym ekwipażem na ulicę Sławkowską. Ambicją „Zderzaka” było zawsze zaskakiwanie czymś nowym i prowokacyjnym: warszawscy dzicy, wrocławska grupa „Luksus”, elektryczne instalacje, ekologiczne śmietniki. Działalność „Zderzaka” przy Sławkowskiej zainaugurował **KRZYSZTOF ZARĘBSKI** z Nowego Yorku performancem: *Dwie pijawki* (12 X). Spektakl był zabawny i wciągający (co niektórzy mieli szczęście odrzucać świetnie wygimnastykowanemu artyście metalowe pokrywki), natomiast pijawki okazały się nad wyraz przyjazne, wyzbyte krwiożerczych zapędów, luskaly delikatnie ciało heppenera. Na koniec akcji zgłosiło światło i ucihła „talerzowa” muzyka, artysta założył podświetlaną maskę i wypuścił ze specjalnego spryskiwacza czerwony lakier do paznokci. Na lustrze pojawiły się dorodne organa żeńskie. Ściekający lakier i roznoszący się odurzający zapach działały na zmysły. Należało czym prędzej uciekać do domu. Czekamy na inne propozycje.

Nie cichną spory o interpretację sztuki Kantora. Jedni chcieliby artystycznego demiurga kanonizować, traktując go wyłącznie jako archiwalną zdobycz, drudzy próbują grać z mistrzem. Po objazdowych wystawach *Ambalazu XX wieku* (Bielsko-Biała, Szczecin, Częstochowa), Cricoteka wspólnie z Grupą Krakowską („Krzysztofory”, 1-21 X) pokazała *Barykadę* **TADEUSZA KANTORA**. Wielka szkoda, że pomysł wzięty ze spektaklu *Niech szczenią artyści* nie wzmocniono udziałem aktorów. Próba „kantorowskiego” protestu uznałbym jednak za inspirującą. Zawołanie „Niech zdechną artyści” nabiera coraz większej aktualności.

(Zbig.)

L I S T Z BERLINA

o Berlinie krąży lingwistyczna zagadka: jak nazywają się Niemcy z byłego DDR? Wiadomo — Ossis. Z Zachodu? Oczywiście — Wessis. A ci ze wschodniej strony, którzy przenieśli się do starej Bundesrepublik? Tu następuje kłopotliwe a uciężne zażenowanie, pod warunkiem, że dowcip opowiadany jest w Berlinie po stronie zachodniej, i padają różnorakie zabawne odpowiedzi, w których trudno dopatrzeć się nawet cienia braterskiego uczucia.

Prawidłowa odpowiedź brzmi po prostu — Wossis.

Po drugiej stronie muru, którego faktycznie już nie ma, ale który pozostał „w głowach” opowiada się inną zagadką: czym się różni Kolumb od Kohla. Otóż

przejawy „zonofobii” (fobii strefowej) u swych byłych współobywateli. Dotkniętych tą chorobą można rozpoznać już na autostradzie — są to ci, którzy zawsze pędzą po lewym pasie domniemując, że na horyzoncie może pojawić się trabant albo ciężarówka. A co już się zdobyło, tego nie oddaje się tak łatwo, w tym wypadku lewy pas. Cechy charakteryzujące najtrafniej obecne zachowanie wschodnich Niemców to zacięty upór i zenująca gorliwość. I dlatego dziwi autorkę nadzwyczajną wrażliwość, której nie mogła dostrzec wcześniej. „Przeciwie: do rozpaczy doprowadzała mnie ich głupota, cierpliwość, obtuda i tchórzliwe podporządkowanie... I teraz kiedy widzę jak się oburzają, że nie pozwolą się oszukać,

Czy warto było...?

Kolumb odkrył Amerykę, skolonizował, spustoszył i zamknął Indian w rezerwach. Kohl natomiast nie musiał zadawać sobie tego trudu: jego Indianie chcieli zostać odkryci, z entuzjazmem pozwolili się skolonizować, ale za to można ich teraz odwiedzać w rezerwach, oglądać a nawet dokarmiać. Obie strony są rozczarowane — zachodnia, ponieważ obciążona została kosztami zjednoczenia, wschodnia jest rozżalona, gdyż powrót do utraconego raję rozpoczął się od siedmiu lat chudych. Znamienne, że największą złośliwość i bezkompromisowość w ocenie swoich byłych współobywateli wykazują literaci, artyści i działacze opozycyjni byłego DDR.

MONIKA MARON na przykład, pisarka bardzo popularna od czasu wydania swojej ostatniej, „rozrachunkowej” wysoko ocenionej przez krytykę i zresztą bardzo dobrej książki *Flugasche (Popiół)*, i teraz tak samo wnikliwie i bezwzględnie tropi

kupić przez Kohla, to znowu widzę ich, jak przemykali się do urn wyborczych, ze spuszczonej głowami siedzieli na zbraniach, oszukani, kupieni i poniżeni. I wtedy nie przyszło im do głowy, żeby strajkować”.

Artykuły i wywiady **Moniki Maron** wywołują poważne kontrowersje i na pewno nie przysparzają jej popularności wśród byłych współbraci.

Jeszcze bardziej pesymistycznie ocenia zjednoczenie Niemiec **HEINER MULLER**. W wydanej ostatnio biografii *Krieg ohne Schlacht* stwierdza, że zjednoczenie było po prostu bzdurą. Skutkiem jego jest spadek poziomu życia, intelektualne zużycie i stagnacja świadomości.

Najbardziej wojowniczo włącza się do dyskusji na temat przeszłości autor i piosenkarz **WOLF BIERMANN**, którego wydalenie przed laty z byłego DDR wywołało falę protestów i

aresztowań wśród opozycji. **Wolf Biermann** żąda głów, protestuje przeciwko nazywaniu zdrajców „ofiarami systemu”, uprawiedliwianiu tchórzostwa i podłości koniecznością dziejową. I najbardziej niebezpieczne wskazuje palcem: ten miły pan dziś tak nieodzwony w nowym ministerstwie pracował dla służby bezpieczeństwa, ta znana pisarka, ten redaktor... A więc zarzuca mu się małostkowość, publiczne załatwianie osobistych porachunków i nachalny egocentryzm. Dużo większą pobłażliwość i ciepłą wyrozumiałość dla skomplikowanej sytuacji w zjednoczonych Niemczech wykazał pisarz czeski **PAVEL KOHOUT**, który odwiedził Berlin z okazji trwających *Berliner Festwochen*, w tym roku zorganizowanych pod hasłem „Berlin — Praga”. Pisarz zbyt mądry, żeby widzieć świat tylko w dwóch kolorach: czarnym i białym. Krzepiące jest jego głębokie przekonanie, że wszystkie niebezpieczne politycznie zjawiska we wschodniej części Niemiec należy traktować jako nieuchronne objawy fazy przejściowej. Demokracja poradzi sobie z pravicowymi radykałami i republikana-

mi. Oby miał rację. Berlin odwiedził też **VACLAV HAVEL**. Incognito. Prasa podała, że zjadł golonkę w restauracji „Ostatnia instancja”: brak danych na temat, czy mu smakowała.

A i o naszych nie zapomniano w Berlinie.

Aż iza się kręci w oku przy zwiedzaniu wystawy okolicznościowej „Od Ghandiego do Wałęsy, walka o prawa człowieka bez użycia przemocy” w Museum na Checkpoint Charlie, dawnym przejściu granicznym. Pożółkłe szczątki ulotek, gazet, manifestów, zdjęcia z tamtych płomiennych lat i i wszyscy jeszcze tacy młodzi, radośni, szczupli. Dużo wycieczek szkolnych, młodzi ludzie zapisują na kartkach zdania-hała rewolucyjne wypowiedziane przez **MARTINA LUTHERA KINGA**, **SOŁŻENICYN** albo **MICHNIKA**.

Maria Kolenda

VITA BREVIS, ARS BREVIS

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Ze zrozumiałym wzruszeniem wspominam pierwsze zajęcia na Wydziałach Grafiki i Architektury Wnętrz, gdzie moimi słuchaczami wówczas byli nie żyjący już **ANDRZEJ PAWŁOWSKI** i **EWA SIEDLECKA KOTULOWA**, a z żyjących, żeby przywołać tamte dni: **DANIEL MRÓZ**, **JÓZEF SZAJNA** i **LESZKOWIE WAJDOWIE** (którzy wtedy jeszcze nie byli Leszkami!), oraz długoletnie zajęcia na Wydziale Konserwacji Dzieł Sztuki, gdzie poczynając od dostojnej Promotorki Pani Profesor **ZOFII MEDWECKIEJ**, nie wyłączając Pana Prórektora **WŁADYSŁAWA ŻALEWSKIEGO** i Pani Dziekan Profesor **MALGORZATY SCHUSTER GAWŁOWSKIEJ** oraz pozostałych członków Rady Wydziału, z wieloma rocznikami słuchaczy miałem możliwość się stykać przy egzaminach i dyplomach, pod opieką właściwego twórcy Wydziału, zmarłego przedwcześnie **JÓZEFA DUTKIEWI-**

CZA, który był artystą malarzem, konserwatorem, historykiem i krytykiem sztuki i umiał być przyjacielem.

Dziś, gdy nadarza się ku temu szczególna okazja, za to podwójne wzbogacenie mojego życia pragnę na ręce Jego Magnificencji Pana Rektora **JANA SZANCENBACHA** i wysokiego Senatu Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, złożyć podziękowanie tym wszystkim, którym się to należy. Czynie zaś to z głęboką zadumą i z poczuciem pewnego zawstydenia, jeśli bowiem nawet przyjąć, że w działalności nauczycielskiej mogłem się przyczynić na swoim odcinku do realizowania celów jakie sobie stawia Akademia, to — parafrazując retoryczny zwrot „chálkeá chryseíon”, używany w antycznej Grecji, która była u źródeł

pojęcia „sztuka” i terminu „akademia” — zdaję sobie sprawę, że w zamian za brząz wiedzy, którą starałem się przekazywać, otrzymałem równy złotu dar, jakim było uświadomienie sobie i bezpośrednie poznanie zarówno doskonałości materialnie dopełnionego aktu twórczego, jak też towarzyszącego mu wyroku skazującego materialnie zaistniałe dzieło sztuki na utratę artystycznej doskonałości.

Lech Kalinowski

* Mowa prof. Lecha Kalinowskiego z okazji nadania mu tytułu profesora honorowego Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (2 października 1992, Krakowski Pałac Sztuk Pięknych).

Prof. Lech Kalinowski — historyk i teoretyk sztuki, członek wielu polskich i zagranicznych towarzystw naukowych m.in.: Polskiej Akademii Umiejętności i Brytyjskiej Akademii.

OSSOLINEUM — W CHICAGO

Ossolineum, najstarsza polska oficyna wydawnicza, w roku 175-lecia swego istnienia zaprezentuje najnowszy dorobek edytorski mieszkańcom Chicago.

Wystawa około 300 ossolińskich tytułów, które w ostatnich latach cieszyły się największym powodzeniem wśród czytelników krajowych, trwać będzie od 31 X do 8 XI br. w salach The Polish Museum of America, placówki dobrze zasłużonej dla promocji kultury polskiej za oceanem.

Ekspozycji będzie towarzyszył kiermasz książki Ossolineum, na którym pojawią się m.in. tomy takich popularnych serii i cyklów, jak „Biblioteka Narodowa”, „Nasza Biblioteka”, „Vademecum Polonisty”, „Historia krajów i narodów” i „Biografie sławnych postaci historycznych”.

Prenumerata „Dekady”

DRODZY CZYTELNICY! Przypominamy o prenumeracie na rok 1993, która jest najsukuteczniejszą formą zdobycia „Dekady Literackiej”.

Warunki prenumeraty:

W kraju kwartalna wynosi 36000 zł, półroczna 72000 zł, a roczna 144.000 zł.

Za granicą kwartalna wynosi (licząc w dol. USA) 5 dol., półroczna 10 dol., roczna 20 dol.

Wpłaty prosimy dokonywać na:

KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY,

31-002 Kraków ul. Kanonicza 7;

konto: Bank Przemysłowo-Handlowy,

IV Oddział w Krakowie, nr 323415-709987-132-3.

W następnych numerach będziemy informowali, w jakich księgarniach na terenie całego kraju i innych punktach sprzedaży można kupić „Dekadę Literacką”.

Nowy sezon teatralny w Teatrze im. L. Soluskiego w Tarnowie otworzył dyrektor Jacek Andrucki premierą *Zorzy* Bogusława Schaeffera w swojej reżyserii. Sztuka powstała przed dziesięcioma laty w Berlinie i Krakowie. W twórczości autora *Audiencji*, *Scenariuszy* i *Kwartetu dla czterech aktorów* jest dziełem dość niezwykłym. Schaeffer w eseju zamieszczonym w programie do tarnowskiego przedstawienia nazywa ją sztuką socjo-polityczną. Pisarzowi komentującemu własne dzieła zależy najwyraźniej na zaakcentowaniu polityczności dramatu, lecz jednocześnie wypiera się jej; pisząc o *Zorzy* „po latach” podkreśla, „że w żadnym stopniu nie odpowiada czasem, w których powstała”. Wyjaśnia: „powodowała mną fascynacja teatrem. I człowiekiem. Człowiekiem dążącym do szczęścia. (...) nie uprawiam teatru zaangażowanego, walka o władzę nigdy mnie nie interesowała, interesowało mnie natomiast upodlenie człowieka”.

Z tych nieco sprzecznych wyznań odczytać można wyraźny lęk dramaturga przed interpretacją jego sztuki tylko w kategoriach aluzji politycznych. Schaeffer chciałby, aby *Zorzę* czytano jako komedię tragiczno-filozoficzno-moralną; aby odnaleziono w niej także

się gdzieś daremnie się wyrwać, ulatywać. Przywodzą na myśl duchy uwięzionych, pomordowanych a wciąż obecnych mieszkańców-ofer. Wciśnięte między dwa szeregi kulis-kamienie kawiarniane stoliki są nieomal stałym miejscem akcji. Nowoczesna tragifarsa rozgrywa się w kawiarni. Bohaterami są wszyscy, choć nikt bohaterem nie jest. Bohaterowie starzy i młodzi sklerotycznie i absurdalnie patrzą: o sztuce, o polityce, o dupie-Marynie. Wydaje się, że Schaeffer napisał jeszcze jedną absurdalną sztukę o absurdach rządzących ludzką mową. Postacie pół- i ćwierćinteligentów prowadzą niekończące się dialogi, z których nic dla nikogo nie wynika. Bełkot. Nonsense. Świntuszenie. Przeciwnicy są urojeni. Sojusznicy pozorni. Słuchaczy nie ma. Każdy z bohaterów chce się tylko wypowiedzieć. I każdy wypowiada pochwałę Starca, który rządzi miasteczkiem, państwem-światem. Każdy wypowiada pochwałę Tramwajarza, który będzie rządzić miastem, państwem i światem. Bo Starzec zdycha, a przy jego łóżku na stoliku leży korona, wokół której kręcą się pretendenci do tronu, szpicle, konspiratorzy. Jeśli bohaterowie nie mówią brzydkich wyrazów i nie cytują cudzych sentencji, to biorą udział w wielkim telewizyjnym show na temat Wielkiego Star-

to ubrana pani z różą w klapie modnego kostiumu jest ucieleśnieniem prawdy sztuki. Czysta, biała... metaforą. Niestety, także czystą teżą choć bardziej z woli bohaterki i reżysera niż autora. Snując się po scenie ma rację, bo jakże tu pozbawić racji niezależną od intryg politycznych prawdę sztuki. Zaczyna swój eksperyment, gdy wstaje zorza i niestrudzenie samym swym istnieniem wypomina ludziom ich małość i brak godności. Potem ginie zadżgana nożem przez demagoga, który jej pożądał. Bo czasem jest teżą i ideą, a czasem kobietą.

A kiedy wstaje nowa ranna zorza Biała Pani Teza zmartwychwstaje. Właśnie wtedy, gdy społeczność tego miasteczka, państwa a może nawet świata raz jeszcze w widmowym i Kantorowym rytmie manekinów powtarza wszystkie swoje stare kwestie i świętuje nowo-starą władzę. Ona jedna, nie kukielka, a Teza usiłuje obronić teatr, a może nawet świat przed ciemnością. Walczy o światło *Zorzy*. Słabymi rękami usiłuje nie dopuścić do zamknięcia się teatralnego horyzontu szeregiem domów-grobów. To przesłanie nadziei, postulat heroizmu. Gdyby go nie wyrażono językiem aktorskim wziętym z teatru rapsodycznej poezji i wzruszeń Szaniawskiego, byłoby to przesłanie z-

Camera obscura

Wdzięczni byłibyśmy redakcji „Literatury” za wyjaśnienie, co znaczy tytuł tekstu Walerii Anny Szydłowskiej „Apocalypsis cum viriles” w n-rze 6 tego miesięcznika. „Apocalypsis” — wiadomo, ale „cum viriles”? Przyimek „cum” łączy się z ablatiwem, tymczasem końcówka „es” występuje tylko w nominatiwie lub akuzatiwie liczby mnogiej, więc takie połączenie jest bezwzględnie błędne. Poprawmy ten błąd składniowy; otrzymamy wówczas „Apocalypsis cum virilibus” — czyli „Apokalipsa z męskimi (albo: pojedynczymi)”, co też nie ma sensu i nie łączy się z treścią tego tekstu. (hm)

★

Maciej Józef Kwiatkowski („Kwartalnik Historii Prasy Polskiej” 1992, nr 1 s. 149) twierdzi, że gwałtowną odmianę niektórych propagandzistów partyjnych w październiku 1956 świetnie oddaje sztuka tego okresu „Święto Winkelrieda”. Tymczasem sztuka ta została napisana (przez Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Zagórskiego) w r. 1944, a wydana — w r. 1946. (hm)

★

Nie wierzymy, by Artur Sandauer — jak to relacjonuje Józef Baran („Śnił mi się Artur Sandauer”, s.54) — tłumaczył, że słowo „peripetia” pochodzi z greckiego „peripeto” („peri” — ptak, „peto” — lot). To przecież zupełna bzdura. Grecka „peripetia” wywodzi się z przedrostka „peri” — wokół, ponad i czasownika „piptein” — padać. (hm)

★

Stefan Bratkowski („Gazeta Wyborcza” nr 183), który bardzo nie lubi polonistów, wypomina im, że nie poświęcili dotąd ani jednej pracy Mickiewiczowi, który odkrył Emersona nie tylko Polsce, ale Paryżowi i Europie, wykładając o nim w Collège de France. Mniejsza o to, że przed Mickiewiczem pisał o Emersonie w Anglii (a więc w Europie) Carlyle i że wykładów Mickiewicza mało kto z Francuzów wtedy (w r. 1843) słuchał. Ważniejsze, że o stosunku Mickiewicza do Emersona polonści od dawna pisali — m.in. Piotr Chmielowski już w r. 1893. Myli się również Bratkowski twierdząc, że teraz dopiero ukazała się pierwsza polska praca o Emersonie (Wiesława Gromczyńskiego). Owszem, jest to pierwsza polska książka o Emersonie, ale poglądy jego omawiał już w r. 1850 Michał Szyszko-Bohusz w „Pamiętniku Naukowo-Literackim”. Pomijając drobniejsze artykuły później ogłoszone, trzeba koniecznie wymienić obszerną (przeszło 80 stron) przedmowę Artura Górskiego do wydania „Szkiców” Emersona z r. 1933. O wszystkim tym pisze teraz Tadeusz Drewnowski w „Pamiętniku Literackim” (1992 nr 2), ale kto chciał poszperać po bibliografiach, ten i wcześniej mógł się o tym dowiedzieć. (hm)

★

Myli się Mieczysław Ingot pisząc („Mickiewicz we Lwowie” w pracy zbiorowej „Studia o Mickiewiczu”, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego), że prof. Stefan Rudniański, jeden z referentów na lwowskiej sesji mickiewiczowskiej w listopadzie 1940 r. to „ukraiński działacz polityczny we Lwowie”. Stefan Rudniański był warszawskim filozofem i pedagogiem, a zarazem działaczem lewicowym; we Lwowie znalazł się dopiero po wybuchu wojny. (hm)

Zorza liryczna

MAŁGORZATA RUDA

sztukę poetycką, fantastyczną i baśniową i na dodatek, aby to wszystko dało się „odnieść do rzeczywistości”.

Odziwo, spektakl tarnowski sprostał tym wszystkim wymaganiom i marzeniom autorskim. Objawił i poetyckość, i doraźność, i uniwersalność *Zorzy*. Wielość „kluczy” interpretacyjnych sprawiła jednak, że estetycznie przedstawienie jest niejednorodne, a myślowo nieco naiwne. Chociaż przyznaję, że ten rodzaj lirycznej naiwności tak mnie w Schaefferowskim spektaklu zaskoczył, że uznałam go za twórczy błąd.

Reżyser przedstawienia punktuje wyrażenie dwa aspekty scenicznej rzeczywistości: kafkowską, groźną niesamowitość i patetyczną poetyckość.

Scena przedstawia jakies upiorne, prowincjonalne miasteczko. Sine i mroczne. Małe kamienice z pustymi oczodołami okien, szparami obskurnych kamiennych bram. Z murów wylaniają się pół-barokowe pół oświecenijskie nagie i lyse postacie. Te widmowe stwory zdają

ca-Przywódcy. I lekko im, pięknie — choć show przerywany jest przez głos Następcy, który zapowiada kolejną erę szczęśliwości. Poprowadzi w nią Tramwajarz albo Fanatyk. Nie wiadomo kto i dlaczego spiskuje. Nie wiadomo, dlaczego ludzie giną, dlaczego zgadzają się służyć i schlebiać władzy, dlaczego tracą twarz. Polityka oznacza mord, jest oszustwem wulgarnym i wszechobecnym. Proces o sabotaż wytoczony zostaje nawet niememu wionolczeliści. Polityków nie trzeba pytać o programy. Wszyscy są demagogami i gwałcicielami. Są niezbędni, aby strzec absurdu życia, absurdu świata. Tak jak sztuka istnieje po to, aby szukać światła, blasku, i sensu.

Zorza zaczyna się monologiem kobiety, która wchodzi na scenę i zapowiada szczególne doświadczenie. Wydaje się jej mianowicie, że „pięknie śnić sen o życiu” można tylko w teatrze. To na scenie można sprawdzić, co wypełnia ludzkie życie, zadać ludziom pytanie, czym jest szczęście i czy to, czego pragną rzeczywistość ich uszczęśliwi. Bia-

czywiście dramatyczne. W dobie programowego pesymizmu politycznego, w czasach zniechęcenia i słusznej nieufności do teatralnych sztuczek i symboli brzmi ono zadziwiająco staromodnie i lirycznie. Jest wzruszające w swojej prawdzie etycznej, która niestety, nie jest równocześnie prawdą estetyczną. Może dlatego, że reżyser bardziej wsłuchiwał się w to, co w *Zorzy* dramatyczne niż w to, co komiczne. A może dlatego, że budując sprawne widowisko bardzo wyraziście plastycznie i dramaturgicznie zorganizowane przez muzykę (B. Rawski), zapomniał, że aktorzy najpierw powinni grać ludzi, a potem symbole. Tylko FANATYK Ireneusza Pastuszaka i Dziewczyna Katarzyny Stępkowskiej-Zbonik potrafił nadać swym postaciom wymiar ludzkiej prawdy.

B. SCHAEFFER: Zorza. Reż.: J. Andrucki, scen.: Bogusław Cichoński, muz.: B. Rawski, ruch: P. Śliwa. Premiera w Teatrze im. L. Soluskiego w Tarnowie, październik 1992.

Książki nadesłane

WYDAWNICTWO MINIATURA

RYSZARD GRUCHAWKA: „ZACZYNAJĄC SIĘ ŚWITEM”, Kraków 1992.

Niezwykłe udany debiut poetycki autora z okolic zagłębia miedziowego.

MAŁGORZATA MISIEWICZ: „LIST PODWÓJNY JAK JA”, Kraków 1992.

Książka poetycka krakowskiej autorki, związanej z Konfraternią Poetów.

LECH OSTASZ: „ZSTĘPUJĄC KU SOBIE”, Kraków 1992.

Wiersze filozofa i dydaktyka z Uniwersytetu Jagiellońskiego — „Jeden z przyjaciół spytał mnie, jak nazwałbym wiersze, które piszę. Na pewno poezja dotyka tego co niedookreślone — i to dość. Jednak próba objęcia poezji, jaką się pisuje, nazwą zbiorczą, nie jest wykroczeniem przeciwko niej. Powiedziałbym więc, że jest to poezja metafizyczna” (z posłowa).

PAUL VERLAINE: „ELEGIE”, Kraków 1992

Zbiór elegii wielkiego francuskiego poety w przekładzie Tadeusza Boya-Zeleńskiego.

GANDHI: „PRAWDA JEST NACZELNĄ ZASADĄ”, Kraków 1992.

Wybór myśli Gandhiego przygotowany przez Mieczysława Kozłowskiego z przedmową Jawaharlala Nehru. „Gandhi posiadał zdumiewającą właściwość przyciągania do siebie ludzi, nawet tych, którzy się z Nim nie zgadzali, a obdarzając ich swoim uczuciem, zjednywał sobie ich serca. Był żywym przykładem tego, jak dobroć ludzka budzi w innych ludziach uczucie dobroci, jak miłość rodzi miłość, a łagodność potrafi pokroić nieokrzesanych, brutalnych i gwałtownych...”

OSHO RAJNEESH: „RAJ JEST DLA GRZESZNIKÓW”, Kraków 1992.

Nowy tom Biblioteczki Orientalnej pod redakcją Jacka Sieradzana. Zawiera poglądy jednego z największych współczesnych Guru, jego wypowiedzi poddające w wątpliwość wszystkie najbardziej uznane i święte prawdy.



DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. **Wydawca:** Krakowska Fundacja Kultury, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 224773. **Adres Redakcji:** ul. Wielopole 1, 31-072 Kraków. **Redakcja:** Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran (sekretarz redakcji), Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas. **Współpracują:** Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Wiesława Szymborska, Witold Turza, Lucyna Walas (redaktor techniczny).

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Dekada Literacka

Rozwód i dekomunizacja po czesku

Zbigniew Baran

Rozwód przebiega sprawnie i bez komplikacji, kiedy któryś z małżonków jest szarmancki i rezygnuje z wszystkiego, co było poprzednio wspólnym dobrem, nie wyklóca się o podział mieszkania, psa, czy dolarowego konta w Szwajcarii. O taki gest jednak zazwyczaj trudno, a coś dopiero, gdy na rozwód decydują się żyjące dotychczas w nierozdzielnej symbiozie narody.

Kiedy po półrocznej nieobecności przyjechałem na tydzień do Pragi, tym razem zawszad czulem rozwodowy sąd. Dwór Vaclava Havla opustoszał, kancelaria prezydencka zajmuje się obecnie wykonywaniem karkołomnych rachunków: jak podzielić budżet federalny, co zrobić z federalną armią, policją, systemem monetarnym. Jak zwykle w tych przypadkach niknie zainteresowanie i snobizm na kulturę. Duchowi współpracownicy Havla, którzy uznali go nie tylko za następcę Masaryka, ale i również za prezydenta międzynarodówki artystów, zwinęli interesy w prezydenckiej kancelarii i powrócili do swoich zajęć. Negatywne skutki tej — po rezygnacji Havla — honorowej dezercji, dały się srogo we znaki w czasie wrześniowego Festiwalu Franza Kafki. Zabrakło bowiem w Pradze pomysłodawcy części teatralnej festiwalu, jego artystycznego kreatora, byłego doradcy prezydenta d/s kultury Petra Oszlego. Bliski przyjaciel Havla, „Theatermensch” z prawdziwego zdarzenia, który zaproponował, by legendarne dzieło Tadeusza Kantora „Umarła klasa” zainaugurowało Festiwal Kafkowski, oddał z konieczności pole dyktantom. Wprawdzie dzieło polskiego demiurga odniosło niewątpliwy artystyczny sukces: pełna widownia, gorący aplauz po każdym spektaklu, otaczająca nas cały czas grupka wielbicieli teatru Kantora, niemniej topiliśmy się nieustannie, w skądinąd znanym nam, organizacyjnym bałaganie.

Okazuje się, że komunizm przeżarł od wewnątrz poddane sobie organizmy narodowo-państwowe. Stan rekonwalescencji musi zapewne potrwać

długo, nawet u takiego narodu jak czeski, który przed wojną szczył się w Europie Środkowej najwyższym poziomem cywilizacyjnym i kulturowym. Czechów męczą bezlitośnie dwa problemy: rozwód ze Słowakami i dekomunizacja. Wszyscy o tym mówią w: kawiarniach, piwiarniach, na ulicy, w teatralnym foyer. W radiu i telewizji przelewają się tasiecowe programy polityczne, gdzie obok ministrów (istny obłęd!) pojawiają się jako polityczne Pytie: spawacze, budowlańcy, włókniarzy i sprzątaczy. Naszych pobratymców określa się — i słusznie — bohaterami dekomunizacji. Świetnie, że jednym pociągnięciem skalpela pozbyli się komunistycznej narośli. Ale komuniści to takie przemyślane krasnoludki, które i tak umiejętnie ulokują się tam gdzie im najwygodniej. Podobnie wielu członków z komunistycznej nomenklatury przeniknęło do międzynarodowych przedstawicielstw i fundacji. A tam skutecznej lustracji przeprowadzić nie sposób.

Wróćmy do spraw rozwodowych. W stolicy rozpowszechniana jest plotka, że w obawie przed rychłą secesją i dyskryminacją, zwłaszcza Słowaczki zawierają pospiesznie i nierzadko fikcyjne związki małżeńskie z Czechami. Fali nacjonalizmu i metod w serbskim stylu jednak bym się nie obawiał. Istnieje w obu krajach środek, który narkotycznie osłabia agresję i wzajemne pretensje — jest to piwo. Siedząc we wspaniałych knajpkach w Pradze i Brnie („U Franciszka”, „U Tomaszką”), gdzie się czuje ducha Szwejka — rozstawione długie drewniane ławy, w ściany wbudowane wielkie beczki, a nad głowami biesiadujących satyryczne rysunki sławiące zbawienne działanie piwa — zaobserwowałem przedstawicieli różnych stanów i profesji. Strój młodzieżowej awangardy łączył się nierzadko z robotniczymi kombinezonami i garniturami urzędników państwowych. W takiej prawdziwie wspólnotowej atmosferze, zazwyczaj już przy szóstym piwie uciszały się polityczne spory. Boski napój dawał znać o sobie.

TEATRZYK RYSUNKOWY

ALEKSANDER PIENIEK



HYDE PARK czytelników

Dzisiaj proponujemy do przeczytania jeden z wierszy nadesłanych nam przez GRZEGORZA SYPKA z Tarnowa. Wiersz ładny, nastrojowy, dowodzący umiejętności klarownego przekazywania zarówno życiowych doświadczeń, jak i udatnego przetwarzania znanych motywów kulturowych.

NIOBE

Błądziłem między dźwiękami dzwonów,
gdy kościół Bernardynów
rozochocił mą młodość.
Okno naprzeciw kościoła
świeciło pustką i smutkiem.
Nazwałem cię Niobe.
Piękna, dumna, płacząca Niobe
robi gest pełen zadumy.
Ktoś tam mówi o straconym małżeństwie,
inny klnie na swe córki...
A ty Niobe siedziałaś oparta o szafę
pełna tajemnic i uczuć.
Twoja modra głowa
kierowała się ku mnie,
gdy Cię nazwałem Niobe.

WITOLD TURDZA ODKRYWA NIEZNANE ARCYDZIEŁA

Kilka dni temu złożył mi wizytę ktoś niezwykle. Zmierzchało. Siedziałem pogrążony w myślach, gdy rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie. Ledwo je usłyszałem. Pobiegłem do drzwi — na progu stał sam Pan Cogito. Zaskoczony, zaprosiłem niecodziennego gościa do środka, poczęstowałem herbacaną. Byłem ogromnie ciekaw, jaki jest cel jego odwiedzin. Niechętnie, z ociąganiem, jakby bojaźliwie Pan Cogito wyciągnął z kieszeni szarej marynarki wiersz o sobie. Napisał go on sam a nie, jak możnaby się spodziewać, Zbigniew Herbert. Wyjaśnił mi zresztą, że zbieżność ich nazwisk jest zupełnie przypadkowa. Owszem zna Zbigniewa Herberta, ale tylko z lektury. Jest zafascynowany twórczością poety i, być może dlatego, jego własny utwór zaledwie przypomina dzieła mistrza. Zapewne jest to błąd debiutanta. Bo to rzeczywiście pierwszy wiersz jaki kiedykolwiek napisał, dlatego cieszyłby się ogromnie, gdyby mógł ujrzeć go w druku.

Pan Cogito jest człowiekiem niesłychanie skromnym, toteż myślę, że spełnienie tej prośby przyniesie mu szczególną satysfakcję.

Zbigniew Herbert

PAN COGITO W OPERZE

Pan Cogito nie lubi opery
nie dlatego
żeby nie lubił muzyki
owszem dostrzega
jej zwodnicze uroki
nie trwale i ulotne
a jednak
nieśmiertelne

nie dlatego też
żeby
nie doceniał głosów
szkolonych długo
i pracowicie
przeciwnie
ceni bogactwo formy
ponieważ forma jest
trwałym śladem
poszukiwania kształtu

Pan Cogito uwielbia
rzeczy trwale
i posiadające formę
one na chwilę
wymykają się
nieustannie oczywistości

przemijania
pociągające jest także to
że muzyka
jest arytmetycznym opisem
spętanych żywiołów
diatoniką uczuć
wyrażoną liczbami
w koniecznym pościgu
za nieosiągalnym

kłopot polega na tym
że bohaterowie oper
zbyt często umierają
ich śmierć jest
można by rzec
nie dosyć ostateczna
bel canto pękających serc
pieści ucho
melodyjną kantyleną
Pan Cogito wolałby
nieco metafizyki
sprzeciwia się
tyranii umierania długo
i niewygodnie
jest przecież
humanistą

Urząd Miasta Płocka i Dom Kultury w Płocku ogłaszają I Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Stefana Themersona na zestaw 5 wierszy i krótkich form prozatorskich (nowela, opowiadanie, baśń, itp). Tematyka utworów dowolna.

Oddzielne nagrody przyznane zostaną za prace literackie inspirowane twórczością Stefana Themersona, za esej krytycznoliteracki poświęcony Jego twórczości i za przekład z języka angielskiego dowolnego fragmentu z dowolnego utworu Stefana Themersona.

Prace podpisane godłem — nie publikowane i nie nagradzane na innych konkursach — w 4 egz. maszynopisu należy nadsyłać do dnia 20 grudnia 1992 roku na adres:

Dom Kultury w Płocku
ul. Tumska 9
09-402 PŁOCK
skr. poczt. 199

z dopiskiem: „I Ogólnopolski Konkurs im. Stefana Themersona”. W oddzielnej kopercie oznaczonej tym samym godłem należy dołączyć swoje imię, nazwisko i dokładny adres.

Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo druku nagrodzonych prac. Rozstrzygnięcie konkursu planowane jest na 20 stycznia 1993 roku w 83. rocznicę urodzin Stefana Themersona.